

POLSKA WALCZĄCA

Biblioteka
UMCS
Lublin

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 20-go maja 1944r.

Rok VI. Nr. 20

OSOBLIWA CHWILA

Właściwie po raz pierwszy od chwili przyjazdu naszego na Wyspy Brytyjskie stanęliśmy przed zagadnieniem przekonywania Brytyjczyków o słuszności naszej sprawy. Dawniej to nie było potrzebne. Polska uważana za pierwszego i najważniejszego alianta, Polska wraz ze swą siłą zbrojną na obczyźnie i nieustannym oporem w Kraju, była poza dyskusją — jako dogmat przyjmowano jej dobrą wolę i jej szczerą intencję. Jako dogmat — jej prawo do owoców zwycięstwa Narodów Sprzymierzonych. Stąd zadanie nasze wtedy było niezmiernie proste — dawanie informacji o Polsce. Ludziom, których dawniej Polska nie tylko nie ciekawiła, ale wręcz nie obchodziła, trzeba było dać garść informacji o tym, co się u nas działo w okresie niewoli i czego potrafiliśmy dokonać w okresie niepodległości. Tubylcy słuchali z zacięciem, nawet nabożeństwem. Mówiono im bowiem o kraju dzielnie walczącym, kraju, który pierwszy chwycił za broń w walce o ideały Sprzymierzonych, w walce o pokój dla Imperium.

Losy wojny zmieniły tę sytuację. Wrocie nam czynniki, rozporządzające potężnym aparatem prasowym, prelegentkim, filmowym — propagandowym w ogólnym znaczeniu tego słowa — postanowili przeszkodzić tej naszej pokojowej pracy w czasie wojny, dążącej do właściwego, prawdziwego uświadomienia Brytyjczyków o Polsce. Zadanie nasze skomplikowało się, dogmat słuszności naszej sprawy spadł do poziomu wątpliwych pretensji "dziwnego" narodu. Przeszliśmy być popularni. Nasze drobne grzechy i przewinienia urastały do ogromu błędów i zbrodni. Nasze drobne śmieszności do karykaturalnych niezdarności. Naród brytyjski, bardzo wierzący drukowanemu słowu, dawał się przekonać. Nasi zwolennicy pozostawali osamotnieni. My jeszcze bardziej.

Tak jest właśnie dzisiaj. Jutro może być jeszcze gorzej. Piszę te słowa, by oddalonym od biegu wypadków politycznych, oderwanym od rzeczywistości brytyjskiej, zasklepionym w życiu polskiego ghetta uzmysłowić istniejące niebezpieczeństwo i by na jego tle napisać wielkimi literami słowo: PROPAGANDA — albo jeszcze lepiej: PRAWDA. Bowiem przez właściwe i źródłowe informowanie naszych przyjaciół i nieprzyjaciół w szeregach brytyjskich, oddać dzisiaj możemy nieocenione usługi sprawie. Gdy wojsko opuści tę Wyspę, gdy rząd polski zrobi pierwszy krok w kierunku powrotu, gdy ślady po nas ostygną — nie będzie już takiej okazji i takiego momentu. Dzisiaj przeto wszelkimi drogami, wszelkimi kanałami trzeba rozprowadzać prawdę o naszym kraju, na przekór wydawnictwom sowieckim, na przekór "Observerom", na przekór "Daily Workerowi" reprezentującemu tutaj interesy obcego mocarstwa.

Opinia brytyjska jest instrumentem ogromnie czułym, na którym granie nie należy wcale do zadań najłatwiejszych. Wybieranie takich strun któreby nam odpowiadały tonem jest pierwszym zadaniem. Potem trzeba te różne struny — konserwatywne i robotnicze, młodzieżowe i dojrzałe, zestroić ze sobą razem i nadać im pewien kierunek.

Wylomem w tym zgraniu była ostatnia dezercja z armii polskiej. Nie wchodzę tutaj w przyczyny, w oskarżanie jednych, uniewinnia-

nie drugich. Sprawa załatwiona została przez sądy polowe i im zostawiamy głos decydujący. Jakkolwiek jednak było, cokolwiek zlego spotkało żołnierzy-Żydów w polskich szeregach, jedno musimy stwierdzić — wybrali szczególny moment swego wystąpienia. Był to wybryk ludzi w większości nie zdających sobie sprawy z jego następstw i ze szkody, jaką uczynili swej przybranej, czy może prawdziwej ojczyźnie.

Prasa sowiecka zapełniła się opisami ucieczki, procesu i rzekomych okrutnych przesładowań, jakim owi żołnierze byli poddawani. Niemieckie radio wtórowało tym głosom. Izba Gmin zamieniła się pewnego popołudnia w salę sądową, na której na ławie oskarżonych zasiadła "nietolerancyjna", "reakcyjna" i "anty-semicka" armia polska. W szeregach miast, miasteczek i wsi organizowano zebrania protestacyjne. Polaków wygwizdywano w fabrykach, nie słuchano, gdy chcieli mówić, zarzucano nieprzejednanymi w swej niechęci, czy nawet nienawiści pytaniami. Wreszcie, by usprawiedliwić jednych, a przeciw winę zwać na kogoś, poto, by wytłomaczyć zdziwionej brytyjskiej opinii publicznej, dlaczego ci przesładowani żołnierze dopiero po czterech latach zdecydowali się na protest, ogłoszono, że antysemityzm i nietolerancję szerzą Polacy wzięci do niewoli z wojsk Rommla w Afryce.

Znajdując kozła ofiarnego, usłużnej naszym wrogom prasa brytyjska jednocześnie dała najwyższą pochwałę ruchowi hitlerowskiemu, którego zasadami przejął się potrafił nawet jego śmiertelni nieprzyjaciele, przemocą wcieleni do znienawidzonej armii.

To był wylom bolesny i w swych konsekwencjach nieobliczalny. Zła wola, pomieszana z nieświadomością wydała owoce takie, o jakich nie myśleli sprawcy niewątpliwie pod każdym względem złego czynu. Prawda głoszona przez nas na zebraniach, konferencjach, podczas spotkań prywatnych i wystąpień publicznych, przyćmiona została biegiem wypadków wojennych i rozgłosem prawie bezkarnej dezercji. Tragizm tego wylomu polega również i na tym, że przeciw wielu z dezertertów uważa się za Polaków, że wielu z nich nie chciało szkodzić sprawie polskiej w tak ciężkiej i trudnej dla niej chwili.

Z drugiej zaś strony warto zanotować także i głosy dobre, pozytywne, dla nas pożyteczne. W ogólnie zmęczonej, czasami niechętniej, chwilami zupełnie wrogo nam opinii brytyjskiej, znajdują się także wylomy. Nie mówię w tej chwili o naszych przyjaciółach dawnych, wypróbowanych, o ludziach, o których wiadomo, że nie zawiedzemy się na nich nigdy. Mam na myśli szeroką opinię nieobjętą naszymi wysiłkami jednania jej dla prawdy i słuszności na-

szych celów wojny, ponieważ objąć jej nie jesteśmy w stanie znikomym aparatem ludzkim i ograniczonym słowem drukowanym. Z takiego właśnie dalekiego środowiska, z pewnej szkoły, w której młodzież kilkonastoletnia mało o Polsce słyszała, i w której omawiane są sprawy różne w sposób swobodny, spokojny i rzeczowy, przysłała wiadomość dająca przeciętne poczucie tego, że nie zawsze jesteśmy osamotnieni, że nie zawsze źle o nas mówią, że nasi przeciwnicy nie są potęgą nie do zwyciężenia.

W szkole tej jedno z zebranych dyskusyjnych poświęcono Polsce i jej obecnym kłopotom. Dyskutowano zawzięcie i długo, po czym, zgodnie ze zwyczajami parlamentarnymi przyjętymi w tym kraju, zwyczajami, których uczą się chłopcy od najmłodszych lat, postawiono konkretny wniosek pod głosowanie. Wniosek ten brzmiał: "In the opinion of this House the Curzon Line would make a suitable boundary of Poland after the war" — w wyniku głosowania został on obalony trzynastoma głosami przeciwko dziesięciu. Trudno przypuszczać, by głosujący chłopcy znali sprawę Polski dobrze i prawdziwie. Trudno przypuszczać także, by nie dochodziła do nich argumentacja naszych przeciwników, którzy zapełniają pisma, kina i zebrania. Trudno przypuszczać, by nie słyszeli tanich frazesów o polskim feudalizmie i zacofaniu. A jednak

głosowali w myśl polskich żywotnych interesów.

Notuję ten fakt, jako widoczny objaw zdrowego rozsądku brytyjskiej młodzieży, jako dowód dobrego wyczuwania swego własnego interesu poprzez zagrożony interes innego narodu. Notuję go także nie tylko jako wylom w brytyjskiej, przeciętnej, opinii publicznej, lecz także jako dowód, że zakorzenione poczucie "fair-play" przekazywane z pokolenia na pokolenie jest najsilniejsze u młodzieży niezapętej rozgrywkami partyjnymi i podciąganiem idei i zasad do potrzeb chwili. Wynik głosowania szkoły w miejscowości Reading powinien nas bardzo podtrzymać na duchu.

Wyjąłem te dwa wypadki z morza wielu innych, jako dzisiaj najbardziej aktualne i najbardziej charakterystyczne. Jeden — świadczący o nieprzemysłanym szkodzeniu sobie samemu i drugi — mówiący o niespodziewanej pomocy z kół młodzieży brytyjskiej. Oba dowodzą niezbitości dużego zainteresowania sprawami nas obchodzącymi, zainteresowania, którego przejawy znajdujemy nie tylko w napastliwych artykułach dziennikarskich, nieprzyjaznych zebraniach lewicowych intelektualistów, lecz także w mało formalnych, lecz tym bardziej ważnych i dla nastrojów brytyjskich charakterystycznych, rozmowach siedemnastoletnich chłopców.

Pozycja nasza trudna, zagrożona, trudniejsza aniżeli ta, którą mają pewne kraje walczące po tamtej stronie barykady, nie jest przecież nie do wygrania. Znowu trzeba tylko dążyć, by tych szczerb ujemnych było jak najmniej, by w czas im zaradzać i by montować szeregi przyjaciół zasad, o jakie walczą Narody Sprzymierzone. Warto poprzez nich rozprowadzać proste słowa, jakie mamy na swoją obronę przeciwko wszelkim zarzutom, których nie sposób dziś sprawdzić, a którym chwilami wygodnie wierzyć. Słowa te ograniczają się do zestawienia faktów, na których opierały się stosunki Polski z jej sąsiadami na przestrzeni ostatnich lat dziesięciu, ze szczególnym uwzględnieniem stosunków z Rosją Sowiecką na przestrzeni ostatnich lat trzech. Nic więcej. Niechaj konkluzję wyciągają sami słuchacze, niechaj bezstronnie powiedzą kto jest winien obecnemu stanowi rzeczy, niechaj sami wydadzą sąd.

Przez dotarcie do wszelkich możliwych kanałów życzliwych sprawie polskiej można z powrotem odrestaurować dogmat o naszej dobrej woli, o naszych intencjach pozbawionych jakichkolwiek dążeń, któreby były sprzeczne z celami wojny Narodów Sprzymierzonych. Jest przeto w tej chwili do zrobienia niezmiernie dużo, jak może nigdy przedtem jeszcze nie było. Chodzi tylko o to, by każdy Polak w Wielkiej Brytanii oddziaływał w swoim kółku, w organizacjach do jakich ma dostęp, w partiach politycznych — w sposób możliwie bezstronny, możliwie spokojny i sprawiający wrażenie raczej zewnętrznego obserwatora, aniżeli gorącego uczestnika rozgrywki. Kiedyś, po latach, gdy losy tej wojny i pokoju, jaki po niej nastąpi, potoczą się różnymi drogami, Brytyjczycy i świat cały będą z wdzięcznością wspominać polskie prawdy, głoszone przez polityczną i wojskową emigrację drugiej wojny światowej.

MARIAN WALENTYNOWICZ: Motocyklista



ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

WE WŁOSZACH FRONT RUSZYŁ

Nie od dzisiaj oczekiwano ożywienia frontu włoskiego. Już przed trzema tygodniami korespondent londyński "Timesa" w depeszy z linii frontu we Włoszech zapowiadał przejście alianłów do akcji. Podkreślił on, że podsuwa się wielkie ilości sprzętu na fronty, że szosy zapchane są taborami, że lotnictwo alianckie przygotowuje się do akcji na wielką skalę. "Nie było by rzecz dziwna — kończył swój rzeczowy raport korespondent "Timesa" — gdyby z nastaniem lepszej pogody alianci przeszli do uderzenia we Włoszech. Na całym froncie panuje nastroj oczekiwania".

Podobne raporty nadsyłali korespondenci amerykańscy. Przewidywania ich sprawdziły się i oto jesteśmy świadkami wielkiego uderzenia na froncie szerokości około 50-ciu km. Cały front nie ożywił się jeszcze, ale istnieje możliwość, że znajdzie się on cały w ogniu.

Front włoski jest frontem osobliwym, albowiem możliwości manewru są tam bardzo ograniczone w porównaniu z frontem wschodnim. Front jest wąski, a nasycenie wojskiem po obu stronach znaczne. Szanse zatem manewru oskrzydającego czy obejścia frontu są małe. Na razie więc atak jest frontowy, przyczem uderzenie główne — czy główne? — idzie ku San Angelo. Liczy się na odcięcie stanowisk pod Cassino, które okazały się dotychczas orzechem bardzo twardym do zgrzyżenia. Niemcy przeszli do przeciwdzierzenia na odcinku rzeki Rapido, ale ich pierwsze ataki zostały odrzucone.

Na razie nie należy się liczyć, jak powiada korespondent anglosaski, że zbyt efektownymi posunięciami. Raczej, jak powiada artykuł wstępny londyńskiego "Timesa" z dnia 15-go maja, posuwanie się na froncie włoskim "przypominać będzie ataki z okresu wojny ubiegłej", kiedy to powoli zdobywano kilometr po kilometrze i kiedy zapowory ognie artylerii przygotowywał natarcie. Komentatorzy brytyjscy ostrzegają przed optymizmem, jak n.p. komentator wojskowy "Daily Telegraph", który dnia 15-go maja pisze, iż od sforsowania linii górskiej zależy powodzenie kampanii i że opory na drodze do Rzymu będą bardzo poważne.

Kontrataki niemieckie były przewidywane przez ostrożnych Anglików. Już w pierwszym dniu uderzenia komentatorzy brytyjscy nauczani doświadczeniem zapowiedzieli, że należy się liczyć z kontratakami niemieckimi i że jeżeli do 40-tu godzin ich nie będzie, znaczy to, że Niemcy nie będą stawiać wielkiego oporu i że ofensywa rozwine się pomyślnie. Kontrataki przyszły i zaraz komuni-

kat brytyjski mówił o tym, że "działania są przeważnie natury lotniczej". W chwili kiedy piszemy te słowa niewiele wiemy o przesunięciach na linii frontu. Wydaje się, że opór niemiecki jest w zasadzie poważny, niekiedy bardzo zacięty. "Niemcy walczą jak diabły" — depeszuje korespondent "Daily Mail" z linii frontu we Włoszech. Podobne zdanie wypowiadają inni korespondenci wojenni.

Linia Gustawa jest zdaje się, wcale silna, ale nie jest ona jedyną zaporą. Jest jeszcze Linia Hitlera, odbiegająca nieco od linii Gustawa, przy czym wydaje się, że ta linia jest mocniejsza. Działanie brytyjskie jest na razie bardzo ostrożne. Lotnictwo toruje drogę, ogień artyleryjski jest niezwykle ostry. Anglicy przypuścili wiele uderzeń celem zbadania siły oporu oraz mocy linii. Gdzie nastąpi właściwe uderzenie, nie wiemy. Na razie parcie brytyjskie idzie ku dolinie Liri, albowiem jest jasne, że tam najlepiej mogłyby rozwinąć akcję czołgi sojusznicy. W innych terenach trudno by im było operować.

Komentatorzy niemieccy ujmują kampanie włoską wcale oryginalnie, ale przypuszczają, że ich doniesienia mają w sobie wiele utajonego sensu. Traktują oni mianowicie atak we Włoszech jako część składową wielkiego planu operacyjnego. Pierwszym etapem tego planu wielkoskalowego, powiada Niemcy, były bombardowania dalekich obiektów w Rzeszy, drugim ataki na węzły kolejowe w Rzeszy i Francji oraz Belgii, jako na możliwym przelocie, trzecim jest atak we Włoszech. Jakże są dalsze koleje tych sojuszników planów, powiada komentarz niemiecki, nie wiemy, ale wszystko wskazuje na to, że alianci mają jakiś "master plan", według którego kierują swoimi uderzeniami. Niemieccy obserwatorzy skłonni są przypuszczać, że front wschodni jest gotów do ruszenia i że akcja na wschodzie będzie również jedną z części składowych owego "master plan".

NA WSCHODZIE OFENSYWA?

Moskiewski korespondent londyńskiego pisma "News Chronicle" donosi dnia 15-go maja, że należy liczyć się z podjęciem przez Rosjan wielkiej akcji na Wschodzie. Po- teżne ilości sprzętu podsuwane są na linię frontu w szczególności zaś dział. Również lotniska sowieckie na wysuniętych placówkach nasycane są sta-

le maszynami.

Jest rzeczą znaną, iż Rosjanie przeszli do bombardowania zaplecza frontu niemieckiego. Lwów, Sambor, Brześć nad Bugiem, Lublin — znalazły się pod bombami sowieckimi. Rosyjska flota powietrzna jest wyraźnie silniejsza, a jak powiadają źródła angielskie, armada bombowców do bombardowania nocnego będzie przechodziła do akcji coraz częściej. Rosjanie doszli bowiem do przekonania, że na skutek skoncentrowania myśliwców nocnych na zachodzie, Niemcy są w dużej mierze odosłonięci na ataki nocne i że nie potrafią odparowywać ciosów lotnictwa bombardującego w nocy.

Na razie ataki sowieckie noszą charakter lokalny. Komunikaty so- wieckie wspominają raczej o atakach niemieckich, które odpięane są koło Seretu i w Besarabii.

Cisza na froncie rosyjskim nosi wszelkie cechy ciszy przed burzą.

NARADY PREMIERÓW DOMINIALNYCH

Narady premierów imperialnych zostały niemal zakończone. Nie wiele wiemy na razie o ich istotnej treści, albowiem lwia część tych spraw są to rzeczy "ściśle tajne". Omawiano plany inwazyjne, odwiedzano wojska przeznaczone do szturmowania fortecy Europy. Poza tym jednak były w robocie sprawy już mniej tajne a więc emigracja z Wielkiej Brytanii do dominów brytyjskich, przy czym na ten temat nie wypowiedziano się tak otwarcie jakby się tego należało spodziewać.

Drugim zagadnieniem, które interesowało premierów dominialnych, była sprawa stworzenia systemu bezpieczeństwa światowego. W tej mierze wydaje się, że premierzy dominów wcale stanowczo podkreślili potrzebę systemu, któryby nie był dyktatem trzech czy czterech mocarstw. Opowiedzieli się oni raczej za odnowieniem Ligi Narodów, przy czym jednak organizacja ta musiałaby mieć poparcie siły. Zagadnienie siły jest ośrodkiem, wokół którego obraca się owa przyszła organizacja. Jak ta siła ma być pojęta, czy trójka wielkich mocarstw będzie pozosta- wać pod bronią, czy są szanse powołania do życia jakiejś policji międzynarodowej i t.d.? Są to pytania niezłałatwione i nie wiemy, kiedy padnie na te pytania odpowiedź.

Premierzy dominialni są raczej konserwatywnymi w dziedzinie polityki zagranicznej i dlatego wy- powiedzieli się za odtworzeniem dawne-

go schematu, jak Liga, a nie za powoływaniem nowego typu organizacji. Dominia popierały stale za czasów genewskich Ligę Narodów, a od- czuwają one dobrze, jakie niebezpieczeństwa grożą t.zw. małym narodom, jeżeli dyktat "wielkich" będzie zbyt wyłączny. Ostatecznie, dominia są same "małymi narodami". Nic więc dziwnego, że chciałyby one stworzyć taki system, któryby zapewnił szanse rozwoju nie tylko wielkim, ale i małym.

Nie wiemy, jakie losy spotkają projekty przedstawione przez premierów dominialnych, albowiem plany te będą dopiero przedłożone Ameryce i Rosji. Dla polityki krajów europejskich głos dominów brytyjskich jest dowodem, że Europa winna wzmocnić swoje węzły z dominiami jako przyrodzonymi niejako obrońcami "małych narodów".

W ODMĘCIE POGŁOSEK

Na tematy polsko-sowieckie pisze się w prasie światowej wiele rzeczy, przy czym spora część tych ocen nie ma oparcia w rzeczywistości. "Observer", specjalizujący się w tych doniesieniach /puszczał on w świat nawet takie pogłoski jak o wymy- szonej przez generała Roli, który scho- wał się pod ziemię/ donosi dnia 14-go, iż istnieje możliwość jakiegoś "półubowego" załatwienia sporu so- wiecko-polskiego i że Rosja gotowa jest "odstąpić" Lwów i Wilno, jeżeli polski rząd spełni pewne warunki. Warunki te przedstawiałyby się w ten sposób, że gabinet londyński musiałby zostać zmieniony.

Podobne doniesienie zamieszcza w tym samym dniu "Sunday Times", który uważa, że owym warunkiem umowy byłoby włączenie do rządu przedstawicieli Komitetu Patriotów oraz połączenie wszystkich sił zbroj- nych polskich, zarówno tych co są we Włoszech, w Szkocji oraz tych co walczą obecnie /albo czekają na walkę/ "przed granicą polską". Chodzi tu oczywiście o wojska generała Ber- lina, o których ostatnio prasa amerykańska i brytyjska szeroko się roz- pisywała. Korespondent Reutera o- pisał wizytę swoją u tych wojsk, za- znacząc, że są one dobrze uzbrojo- ne w sprzęt brytyjski, amerykański i sowiecki, że rekrutacja Polaków od- bywa się na kresach wschodnich /co, nawiasem mówiąc, zaprzecza teorii pewnych państw, jakoby nie było tam Polaków i jakoby byli to mialy ziemie etnograficznie rosyjskie/ i że z chw- łą dojdą do Warszawy armia ta bę- dzie ogromna. Żołnierze tej armii

powiedzieli korespondentowi, że za- mierzają iść nie tylko do Warszawy, ale do Berlina. Ich program, szcze- gólnie tych, których sprawozdawca Reutera odwiedzał w ośrodku "poli- tycznego przeszkolenia" jest rady- kalny: podział ziemi, upaństwowie- nie przemysłu i banków, ale nie ma być farm zbiorowych ani też nie na- leży likwidować małych warsztatów. Co do granic, to jest rzeczą znamie- ną, iż korespondent Reutera ograni- czył się do stwierdzenia, iż "linia Curzona budzi tam zainteresowanie" i że wyrażono wiarę, iż "zagadnienia graniczne jakoś będą załatwione". Nawet jednak żołnierze z armii Ber- lina nie wypowiedzieli się za linią Curzona, co jest ciekawym zjawis- kiem.

Jest również ciekawe, że żołnierze ci oświadczyli, że byłiby wdzięczni profesorowi Lange, gdyby ułatwił im porozumienie się z rodzinami w Kazakstanie i na Syberii. To o- statnie stwierdzenie odkrywa ludzką rzeczywistość — nie polityczną. Rozu- miemy to pytanie i zapewne zrozu- miął je sprawozdawca Reutera. Po- dał je uczciwie. A skoro rozumiemy to pytanie, lepiej zapuścmy zasłone na tragiczną armię, która — wierzy- my w to — chce wejść do Polski i być gospodarzem we własnym kraju. Tak wierzy żołnierz, który stoi przed granicą polską. Któż rzuci na nie- go kamieniem, że tak myśli, że tak wierzy? Pozostała mu bowiem tyko ta wiara.

Wizyta ks. Orlemańskiego, która wywołała taką burzę w USA, jest dzisiaj oceniana spokojniej przez po- znającą prasę. "Daily Telegraph" z dnia 15-go maja pisze w depeszy z Waszyngtonu, że wizyta ta przy- nosiła więcej szkody, aniżeli pożytku sprawie przez księdza Orlemańskie- go reprezentowanej; jest on przed- miotem ataków zarówno ze strony Kongresu USA jak i kleru amery- kańskiego. Nawet londyński "News Review" złośliwie potraktował poli- tykującego księdza, przedstawiając go jako postać raczej komiczną.

Niemniej postać ta zabawiła się w politykę, narobiła mety, przesunę- ła się przez scenę, a nam pozostało pytanie: dlaczego, pojechał ks. Orlemański do Rosji, czy otrzymał on w Moskwie jakieś sugestie, o któ- rych nie mówił się w prasie /a któ- re relacjonował "Observer"/, jakie ma on kontakty poza Oceanem i w innych jeszcze może miejscach? Slo- wem, czy misja ta nie była zapoczątko- waniem nowego okresu pogłosek, zamętu, chaosu, słowem wszystkiego tego, co może się najgorzej odbić na naszej sprawie?

Londyn, dnia 15.V.1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Wells, pisząc na początku tego wieku o lotnictwie, wyrażał często pewność, że lotnictwo musi w miarę swego rozwoju odegrać poważną rolę nie tylko w konstrukcji politycznej naszego świata, lecz także i w etycz- nym rozwoju społeczeństw.

Nieraz już omawialiśmy, jakie przemiany musi spowodować lot- nictwo przez to tylko, że nawet naj- potężniejsze narody i państwa nie będą w stanie utrzymać tak wiel- kiej siły powietrznej, by zapewniła im ona bezpieczeństwo i pokój. W praktyce, nie ma dziś na kuli ziemskiej narodu nie zagrożonego atakiem z powietrza. Morza dawno przestały bronić kontynentów, naj- wyższe góry nie stanowią przeszkód dla bombowca. Nawet mgły i burze nie stanowią zapory dla lecących kluczy.

To wszystko zmusza narody do szukania jakiegoś środka bezpiec- zstwa. Dlatego to tak wielkie znacze- nie przywiązywane jest do przyszłej powojennej międzynarodowej komu- nikacji lotniczej.

Jeszcze w tym roku, jak to ostatnio zapowiedział Lord Beaverbrook, zwo- łana zostanie międzynarodowa kon- ferencja lotnicza, która rozważać bę- dzie te sprawy może nie w idealisty- cznych formach, lecz pod postacią zagadnienia międzynarodowej komu- nikacji powietrznej.

Podobno, według wypowiedzi tego meża stanu, Wielka Brytania i Ameryka uzgodniły już swe zapa- trywania na przyszłą organizację komunikacji powietrznej i na kwestię bezpieczeństwa międzynarodowe- go. Nie mniej jednak sprawy zwią- zane z tym zagadnieniem są w dal- szym ciągu troską wielu rządów. Nie najmniejszą rolę w tych problemach odgrywa Polska i jej położenie geo- graficzne, które dzieli z kilkoma jesz- cze innymi krajami.

Istnieje spór zasadniczy: do kogo mają należeć wielkie bazy lotnicze, ciągnące się długim łańcuchem mię- dzy Morzem Bałtyckim a Bałkanami. Bazy te mają szczególną właści- wość: kontrolują równocześnie Atlantyk wschodni i Ural, Morze Irlandzkie i wschodnie wybrzeża Morza Śródziemnego. Wiadome jest, że kto będzie panem tych baz, ten bę- dzie wywierał swe wpływy na całą Eurazję, a nawet na system polity- czno-ekonomiczny świata. Pytanie, co lepsze: Zachód, czy Wschód — jest nieracjonalne i niewłaściwe. Ani Zachód nie powinien panować nad Wschodem, ani Wschód nad Zachodem. Sporne bazy powinny tworzyć swój własny system geopolityczny, jako ognia włączące dwa odmiennie światy. Wtedy dopiero będzie można

mówić o trwałym pokoju.

Ostatnie wydawnictwa fachowe zawierają wiele artykułów na ten temat. Wśród tych, którzy nie są zara- zeni bakcyliem imperializmu i nie ulegają złudom siły i przemocy, naj- więcej znajdujemy zwolenników systemu federacji, z wyodrębnieniem federacji Centralno-Wschodniej Europy w osobny system. Można z przyjemnością stwierdzić, że naj- gorętszymi zwolennikami tych teorii są uczeni anglosaski i to na równi Amerykanie jak i Brytyjczycy.

O obecnej działalności wojennej lotnictw alianckich trudno rozpis- wać się więcej, niż to czynia obecnie pisma codzienne. Jest ona obrzy-

mia i wyborem celów coraz bardziej wskazuje, że czas uderzenia jest bar- dzo bliski. Miał rację Bevin twier- dząc, że t.zw. drugi front właściwie już się zaczął. Właściwa inwazja, która jest tylko jednym z fragmen- tów drugiego frontu, nastąpi wte- dy, gdy sytuacja całkowicie dojrzeje do tego rodzaju operacji — niezwykle skomplikowanym i ryzykownym cha- rakterze. Wiemy w tej chwili, że Rommel, który jest dowódcą Obrony Europy, chce rozegrać bitwę o u- trzymanie swej fortecy w drodze krótkiej, bez przeciągania działań. Jeżeli to prawda, to rozstrzygnięcie padnie szybko, w kilka tygodni po do- konanym lądowaniu, zaspakajając rycho ciekawość świadków postron-

nich. Rozstrzygnięcie tej bitwy bę- dzie miało miejsce w powietrzu.

W ostatnich "Nowościach Lotni- czych" omówiliśmy część zadań, przy- padających Bomber Command, mian- owicie kładzenie min na wodach nie- przyjaciela. Dziś przyjrzymy się działalności innej Command, o któ- rej mało się mówi, ale która odgrywa nadzwyczaj ważną rolę w ogólnym wysiłku wojennym Sprzymierzonych. Mamy na myśli Transport Command.

Zadaniem Transport Command jest utrzymanie powietrznej łącz- ności między poszczególnymi odcinka- mi frontów i między krajami Sprzy- mierzonych. Transport Command dostawia samoloty z Ameryki do

Wielkiej Brytanii i z Wielkiej Bry- tanii na pola bitew, jak i przewozi wojska. Przenosi na swych skrzy- dłach dyplomatów na ważne narady, jak również towary, czy broń. Za- opatrjuje wojska w trudnych tere- nach i załatwia wiele zadań, których tutaj nie da się wymienić dokładnie. Jest wszędobylska i służy "do wszyst- kiego". Choć dzisiaj jej rola, jak- kolwiek ważna, jest mało znana, to jednak w przyszłości wybije się na pierwsze miejsce z chwilą, gdy przestaną gruchotać strzały karabi- nowe nad Europą.

Transport Command urodziła się ze skromnych początków. Wtedy na- zywała się: Afero. Była to orga- nizacja cywilna, pracująca na kor- zysć wojska. Samoloty tej Com- mand, skrzydło w skrzydło z samo- lotami British Overseas Airways Corporation, pomału opanowały wszystkie linie światowe, wiążąc je dokoła całej kuli ziemskiej.

Załogi samolotów są bardzo mię- dzynarodowe, najmniejszy bodajże procent stanowią wśród nich rodowici Brytyjczycy. Wszystkie przecho- dzą specjalny trening w Kanadzie. Wśród tych załóg jest wielu Polaków i to lotników o wielkich nazwis- kach, choćby wspomniemy nazwisko s.p. Burzyńskiego, wspaniałego "milionera" LOTU, który zginął nie- dawno w Montrealu w nieszczęśli- wym wypadku wraz z innymi człon- kami załogi.

Samoloty, na których te załogi la- tają, są przeważnie pochodzenia amerykańskiego, z tej racji, że Ameryka wytworzyła więcej tyłów, na- dających się do tych celów, którym służy Transport Command, niż wielka Brytania. Są tam "Liberatory" i "Dakoty" czy "Hudsony". Są jednak też w użyciu ostatnie typy brytyjskie jak "York" czy "Warwick".

Stała służba transportowa Trans- port Command pokrywa w tej chwili 85,000 mil. Każdy miesiąc przynosi samolotom tej Command około 3 miliony przeleciań mil!

Wspaniała ta organizacja daje nam żywy obraz tego, czym stanie się kiedyś komunikacja lotnicza świa- towa. Niewątpliwie z chwilą zawar- cia pokoju, Transport Command przestanie istnieć. Niektóre z linii obsługiwanych przez nią obejmą linie cywilne na własny koszt i rachunek, lecz wiele będzie musiało w dal- szym ciągu utrzymywać państwo w myśl zasad Prezydenta Roosevelta, aż do tej chwili, kiedy linia dojrzeje do przejęcia jej przez inicjatywę pry- watną, t.j. — gdy stanie się docho- dowa.

M. J. GORDON

Nowości lotnicze

Z tygodnia na tydzień

8 maja: W nocy z 7/8 lot- nictwo brytyjskie bombardowało Bu- kareszt z baz Morza Śródziemnego — oraz Leverkusen, koło Kolonii, z baz w Anglii.

—Polski dywizjon obrony wybrze- ża w nocy z 7/8 patrolował nad Za- toką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły z tej wyprawy.

—Za dnia lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie Berlin i Brun- szwik. Lotnictwo Sprzymierzonych atakowało za dnia cele wojskowe w Belgii i Francji.

—W Moskwie ogłoszono, że wojs- ka sowieckie przelatały niemieckie linie obronne pod Sewastopolem.

9 maja: W nocy z 8/9 lot- nictwo brytyjskie bombardowało ośrodki kolejowe w Belgii.

—W nocy z 8/9 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Za- toką Biskajską. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Lotnictwo Sojusznicze bombar- dowowało za dnia koleje w Belgii i Francji.

—W Moskwie ogłoszono o zajęciu Sewastopola przez wojska sowieckie.

10 maja: W nocy z 9/10 lot- nictwo brytyjskie bombardowało obiekty przemysłowe i wojskowe we Francji.

—W nocy z 9/10 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Za- toką Biskajską. Wszystkie załogi po- wróciły.

—Lotnictwo Sojusznicze atakowa- ło za dnia ośrodki kolejowe we Fran- cji i Belgii.

—Lotnictwo amerykańskie z baz

Morza Śródziemnego bombardowało fabryki lotnicze w Wiener-Neustadt.

11 maja: W nocy z 10/11 lot- nictwo brytyjskie bombardowało ośrodki kolejowe i kolejowe we Francji i Belgii.

—Polski dywizjon bombowy ciężki w nocy z 10/11 bombardował cele wojskowe w północnej Francji.

—Lotnictwo brytyjskie bombar- dowowało z baz Morza Śródziemnego Bu- dapeszt w nocy z 10/11.

—Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało silnie od rana do zmro- ku ośrodki kolejowe we Francji i Belgii.

12 maja: W nocy z 11/12 wojska sojusznicze, pod dowództwem gen. Alexandra, rozpoczęły ofensy- wę we Włoszech przeciw linii Gu- stawa. W początkowym natarciu uzięły udział wojska polskie, Rzeki Rapido i Garigliano zostały przekro- czone.

—Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski wydał Rozkaz Nr. 8 do żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. W rozkazie tym czytamy: "II Korpus we Włoszech stoi w ogniu jednej z największych bitew w tej wojnie. Polacy otrzymali ważne i trudne, lecz tym samym zaszczytne zadanie. . . Oczy całej Polski zwrócone są na tych Jej synów, którzy krwią swoją pisać nową kartę historii Narodu niezłomnego i niepodległego i Honoru".

—W nocy z 11/12 lotnictwo bry- tyjskie bombardowało koleje w Belgii i Francji.

—Za dnia lotnictwo amerykańskie

bombardowało z baz w W. Brytanii fabryki benzyny syntetycznej koło Lipska i w Czechosłowacji. Był to najdalszy dotąd nalot w głąb teryto- rium nieprzyjacielskiego.

—Lotnictwo Sojusznicze atakowa- ło za dnia cele wojskowe we Francji i Belgii.

—Rządy brytyjski, amerykański i sowiecki ogłosiły deklarację ostrze- gającą Rumunię, Węgry, Bułgarię i Finlandię o konsekwencjach dalsze- go popierania Niemiec.

—Prezydent R.P. podpisał na wniosek Rządu dekret o amnestii.

13 maja: Wojska sojusznicze zajęły we Włoszech miejscowości: San Sebastiano, Ventosa, San Angelo i in.

—Lotnictwo sojusznicze bombar- dowowało w nocy z 12/13 obiekty wojskowe we Francji i Belgii.

—Lotnictwo amerykańskie za dnia bombardowało fabryki w Tulow nad Bałtykiem i pod Szczecinem oraz węzeł kolejowy w Osnabrück. W czasie tych działań myśliwce amery- kańskie zestrzeliły 6 myśliwców nie- mieckich ponad Polską. Po raz pierwszy myśliwce sojusznicze doko- nali z baz w W. Brytanii tak głą- bokiego wniknięcia nad teren zajęty przez nieprzyjaciela.

14 maja: Wojska sojusznicze zajęły m.in. Castelforte, Santa Ma- ria Infante we Włoszech. 8 Armia po- suwa się dolinę rzeki Liri.

—W nocy z 13/14 lotnictwo so- wieckie bombardowało Brześć nad Bugiem.

Prasa żołnierska na froncie włoskim

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Korpus Polski we Włoszech ma już swe codzienne pismo. Pierwszy numer wyszedł 25 marca, po pewnych wstępnych trudnościach, które zostały jednak ostatecznie przezwyciężone. Tytuł pisma brzmi: "Dziennik Żołnierza A.P.W." Trzy końcowe litery nawiązują do tradycji palestyńskich i egipskich, gdzie pismo było dziennikiem żołnierza Armii Polskiej na Wschodzie; teraz A.P.W. oznacza Armię Polską we Włoszech, choć nie ma do tej chwili takiej oficjalnej nazwy.

Dziennik drukuje się w niewielkim górskim miasteczku, blisko frontu, tak że pismo może być szybko dostarczone żołnierzom. Kolportaż naturalnie zależy od niezwykle kapryśnej pogody. Nic dziwnego więc, że administrator dziennika ciągle patrzy w niebo i jako pobożne życzenie nuci piosenkę: "O sole mio".

Odbija się nasze pismo codzienne we włoskiej drukarni, zarekwirowanej przez nasze władze wojskowe. Polski linotyp jeszcze nie nadszedł z Egiptu, tak że skład jest ręczny. Zecerzy są żołnierzami z Drukarni Polowej. Kilku z nich to weterani wydawnictwa. Pamiętam ich, jak jeszcze składali pierwszy numer "Orla Białego" w ciastym kąciku korytarza w budynku sztabu w Buzuluku.

Redaktorem naczelnym pisma jest znany dziennikarz krakowski dr. Ludwik R., którego Marian Walentynowicz z wzruszającym sentymentem rysował w "Polsce Walczącej" przy każdej okazji w niezapomnianych przygodach Pompki. Lokal drukarni jest bardzo obszerny, tak że Redaktor Naczelnym może swobodnie biegać przy układaniu artykułu wstępnego. Dużo, dużo gorzej pod tym względem było w Kairze, gdzie był ograniczony w swoich marszach malutkim pokoiem o wymiarach 3 mtr. na 3 mtr.

W redakcji jest kilku dziennikarzy warszawskich, a sympatycznym kibicem pisma jest popularny por. Wacław S., dawny sprawozdawca parlamentarny P.A.T., obecnie szef kwatery prasowej, który na powitanie korespondenta wojennego zawsze gdzieś wytrząśnie butelkę whisky. W tym obrzydliwym klimacie nie można sobie pozwolić na abstynencję, choćby się chciało. A cóż dopiero, jeśli się

nie chce...

Dziennikarze mają naturalnie swoją kawiarnię i swój stolik. Polska "Imka" otworzyła w dawnej Cafe Adua kawiarnię, gdzie można dostać autentyczną czarną kawę, której tubylcy nie widzieli już od kilku lat i gdzie po południu przegrzewa orkiestra włoska. Naturalnie najpopularniejszą melodią jest piosenka niemiecka "Lili Marlene", którą ósma armia wzięła do

żyć po to, by umrzeć na polu chwały, ukrywającą kłęski niemieckie i bombardowania miast przez lotnictwo brytyjsko-amerykańskie.

Starsi koledzy "Dziennika Żołnierza" na froncie włoskim — to "Eighth Army News", codzienne pismo 8mej Armii, założone przez dawnego reportera z londyńskiej Fleet Street. Formatem przypomina "Daily Mirror". "Eighth Army News" są pismem bardzo

urlopów do Anglii, że nie dostali orderów "Gwiazda Afryki". Dzięki tej rubryce "Eighth Army News" są prawdziwą trybuną żołnierską. Naturalnie każda wiadomość o generale Montgomery, nadeszła z Londynu, drukowana jest na pierwszej stronie. Żołnierze nie mogą go zapomnieć, po pierwsze dlatego, że go bardzo lubią, po drugie dlatego, że im się ciągle przypomina.

miał jeden numer gazety ze wzmianką o sobie.

Najbogatszy pod względem objętości jest dziennik Piątej Armii "Stars and Stripes" wydawany w Neapolu, posiadający swych własnych korespondentów wojennych i foto-reporterów. Niedawno przedstawiciele tego dziennika odwiedzili nasz korpus, robiąc mnóstwo zdjęć dla specjalnej "rozkładówki", poświęconej żołnierzowi polskiemu. Włoskie "Stars and Stripes" to jedno z licznych wydań tego dziennika, który wychodzi na wszystkich teatrach wojennych, a więc w Wielkiej Brytanii, Indiach, na Pacyfiku, w Egipcie, w północnej Afryce.

"Stars and Stripes" jest najbardziej pro-włoski z wszystkich dzienników, bo zarówno w francuskim "La Patrie" jak w "Eighth Army News" można przeczytać bardzo często jakąś ironiczną uwagę pod adresem "współwojujących" Włochów. Zwłaszcza Francuzi nie mogą zapomnieć 1940 roku, czemu się zresztą nie należy dziwić. "Stars and Stripes" przeszły pewną ewolucję w stosunku do Włochów, która chyba najlepiej zaznaczyła się w rubryce, poświęconej nauce języka włoskiego. O ile przedtem żołnierz amerykański mógł się tam nauczyć szeregu zdań, które mogły wywołać uśmiech radości na twarzy każdego Włocha, jak na przykład: "Ameryka i Włochy to najpiękniejsze kraje na świecie", o tyle teraz, zapewne pod wpływem bezlitosnego zdzierstwa uprawianego przez obywateli śpiwającego miasta, redakcja "Stars and Stripes" zaleca naukę takich niedwuznacznych zwrotów, jak: "jesteś złodziejem", "jesteś idiotą", "bandyta".

Jeszcze jedno pismo, które jest robione po "tej" stronie, a czytane po "tamtej", i kolportowane w sposób dość niezwykły. Pismem tym jest "Frontpost", w którym żołnierz niemiecki może przeczytać te wiadomości, których nie znajdzie w "Die Südfront". Kolportaż odbywa się drogą powietrzną, w pociskach artyleryjskich. Niedawno widziałem jak jeden z jeńców niemieckich dopytywał się swoich strażników o to, czy mogliby dostać numer "Frontpost". Ot, jak można się przyzwyczaić do szybko i dobrze informującego pisma.

ZDZISŁAW BAU

EIGHTH ARMY NEWS

No. 140, Vol. 3

WEDNESDAY, 8th MARCH, 1944

ITALY

UNION JACK



Stop Press

The B.B.C. reported yesterday that the R.A.F. dropped a record load of 1,600 tons of bombs in their raids on France and Belgium on Monday night

Wednesday, April 12, 1944
No. 88 Two Lire

FOR THE BRITISH FIGHTING FORCES

FOR CANADIAN TROOPS IN ACTION

THE MAPLE LEAF



(WITH CANADIAN PRESS NEWS SERVICE)

Vol. 1, No. 28

ITALY EDITION

Friday, March 10, 1944

DZIENNIK ŻOŁNIERZA APW

Nr 1. Rok II.

„Z ziemi włoskiej do Polski”

25 marca 1944.

niewoli w Afryce. Jeden z młodych poetów Dywizji Karpackiej pisze już polskie słowa do tej melodii.

"Dziennik Żołnierza" jest szóstym pismem wojskowym po "tej" stronie frontu. Po "tamtej" Niemcy wydają trzy razy na tydzień "Die Südfront", propagandową szmatkę, przekonywającą żołnierza niemieckiego, że na froncie wschodnim jest znacznie zimniej, przedrukowując różne cytaty z Nietzschego, dowodzące, że warto tylko

odważnym i nie nabierają nigdy wody w usta. Atakują rząd, atakują parlament, a podczas strajku górników zdecydowanie stanęły po stronie robotników. Każdy numer zawiera na ostatniej stronie fotografie jakiejś aktorki i rubrykę listów od czytelników, w której żołnierze skarżą się, że dostają jeszcze ciągle papierosy V/u nas nazywają je "sierżantami", że zóid jest za niski, że filmy w kinach wojskowych są kiepskie, że nie ma

"Union Jack" jest mutacją dziennika 8mej Armii. Rozchodzi się na tyłach, w Sycylii i w Północnej Afryce Francuskiej.

Kanadyjczycy wydają bardzo sympatyczny i bardzo dla nas serdeczny dziennik "Maple Leaf." Redagowany jest z dużym temperamentem i pomysłowością. Przynosi długie reportaże z frontu, drukując przy tym nazwiska i imiona żołnierzy, tak że po wojnie każdy z tych przemilych chłopców będzie

Na apenińskich stokach i graniach

Na froncie włoskim w kwietniu

Pierwszy dzień pobytu na odcinku "Kresowej" zajęła Naczelnemu Wódzowi odprawa i wysłuchanie referatów, w których sztab przedstawił sytuację i położenie Dywizji. Do późnego wieczora wysłuchiwał General bardzo uważnie tych sprawozdań; dopytując się o wszystko, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły. Ale kiedy wieczorem Dowódca "Kresowej" przedstawił plan na dzień następny, Naczelny Wódz oświadczył, że nic z tego i ku wielkiej konsternacji wszystkich zdecydował, że pójdzie do kompanii pierwszego rzutu. Żadne tłumaczenia nie pomogły i cały misternie ułożony plan runął.

Na drugi dzień w ciepły słoneczny poranek pomknęły "łaziki" krętą górską drogą. Wygodna niedługo szosa, dzisiaj przedstawia obraz kompletnej ruiny. Co krok — wyrwy, dziury i leje od pocisków, wszystkie mosty /a jest ich tu mnóstwo/ wysadzone w powietrze i zastąpione albo prowizorycznymi wyczynami saperów, albo karkołomnymi objazdami. Obok szosy wije się serpentynami to, co kiedyś było torem kolejowym, a co obecnie jest poszarpaną gmatwaniną kamiennych gruzów, potrzebnych podkładów i fantastycznie poskręcanych — niby jakies węże przedpotopowe — szyn. Niemcy z właściwą sobie systematycznością przeprowadzili tu bardzo dokładnie dzieło zniszczenia.

Tą drogą, to w górę, to w dół, pędzą "łaziki" wiozące Naczelnego Wódza i jego otoczenie. Mijamy świetnie zamaskowane stanowiska artylerii /dopiero w chwili, gdy jedna z takich baterij otworzyła ogień, zorientowaliśmy się, że nasz samochód przejeżdża tuż nad strzelającym działem/, wysunięte

punkty sanitarne, gońców, transporty — aż wreszcie zagradza nam drogę tablica z napisem: "Wszystkie pojazdy stop. Dalszy ruch w dzień zakazany". Z tego miejsca trzeba już dalej iść pieszo. Ścieżką wydeptaną przez muły wożące tu w nocy zaopatrzenie idzie Naczelny Wódz a my za nim, kryjąc się w wąwozach przed obserwacją przeciwnika, który tu wszędzie góruje nad naszymi stanowiskami. W miejscach, gdzie w terenie nie ma osłony, rozdzielamy się i idziemy pojedynczo w odległości mniej więcej 200 metrów jeden od drugiego. Po półtorej godzinie takiego marszu dochodzimy wreszcie do dowództwa jednego z baonów lwowskich.

Dowództwo mieści się w rozwalonej chałupie, jakimś cudem trzymającej się zbroca skały. Dokoła pełno lejów i wyrw od pocisków. Witają nas roześmiane i rozradowane twarze. Melduje się dowódca Brygady Wileńskiej i dowódca baonu przedstawiając sytuację. Naczelny Wódz interesuje się każdym najdrobniejszym szczegółem.

Myślimy, że to już koniec, ale gdzie tam! General mówi, że idzie na odcinek kompanii. Wspinamy się więc ze wszystkimi środkami ostrożności, boć przecież ta wędrówka odbywa się na oczach nieprzyjaciela, który siedząc o kilkaset metrów przed nami i do tego

o sto metrów powyżej nas, widzi wszystko jak na dłoni.

Po drodze Naczelny Wódz ogląda wykończane właśnie przez saperów stanowiska ciężkich moździerzy, rozmawia z saperami i z moździerzystami, żałującymi się, że za mało pozwalają im strzelać, serdecznie wypytuje o rodziny, o warunki pracy. A tymczasem artyleria nasza i niemiecka wali ponad nami bez przerwy.

Idziemy dalej. Mijamy pluton ciężkich karabinów maszynowych, których dowódca młody podporucznik, melduje się bez odznak oficerskich, tylko z widocznymi, śladami po paskach podchorążackich na naramiennikach.

Naczelny Wódz zapytuje, dlaczego nie nosi odznak. I wtedy okazuje się, że nominacja zastała podporucznika tutaj, na odcinku bojowym i że po prostu nie miał skąd dostać gwiazdek. Na to general Sosnkowski zdejmując z naramienników towarzyszącego mu pułkownika D. gwiazdkę i własnoręcznie przypina je zarumienionemu jak panna oficerowi, patrzącemu na Wódza oczyma pełnymi rozczuleniami i wdzięczności.

Przechodzimy następnie koło wysuniętego punktu opatrunkowego, na którym podporucznik lekarz opowiada o wielkich trudnościach transportowania rannych na mulach po górskich ścieżkach. Na

szczęście rannych w tej chwili nie ma, ostatnich wywakuowano w nocy.

Tak idąc dochodzimy nareszcie do dowódcy kompanii tego odcinka, któremu Naczelny Wódz każe się zaprowadzić do stanowisk kompanii. Znowu konsternacja, bo stanowiska są o pięćset metrów od nieprzyjaciela, który jest bardzo czujny i każdego ukazującego się człowieka natychmiast zasypuje pociskami z moździerzy. Ale General nie ustępuje. Wspinamy się więc na przełęcz górską, skąd Naczelny Wódz w towarzystwie dowódcy kompanii, kryjąc się, idzie do stanowisk. Nagle idącym zabiega drogę jakiś młody żołnierz.

— "Panie Generale!" — woła — "Dalej iść nie można".

— "Dlaczego?" — pyta zdziwiony General.

— "Dalej jest bardzo niebezpiecznie, niech Pan General dalej nie idzie" — mówi prosiącym głosem chłopak.

General się uśmiecha: — "Trudno, moje dziecko — wojna".

Jeszcze kawałek tej uciążliwej i niebezpiecznej drogi i Wódz ogląda ze stanowisk kompanii pozycje nieprzyjaciela i przedpole. Na lewo, trochę w skos widać między głazami zeszyty jak kretowisko, wysunięty punkt oporu Lwówiaków, do którego w dzień nie ma żadnego dostępu. Tak w niego wa-

lą z ciężkich moździerzy, że tylko fontanny ziemi i kamieni wybuchają wokół raz po raz. Dalej na prawo — stanowiska sąsiadującego baonu Wilnian.

Naczelny Wódz nie może wytrzymać — wychyla głowę. Na to tylko czekają Niemcy: pada jeden pocisk, drugi, trzeci, pękając o 50 metrów od Generala. Otoczenie truchleje, ale General nie przerywa swych obserwacji. Są mu już teraz znane wszystkie szczegóły obrony odcinka. Wie już skąd pójda przeciwnatarcia, gdzie leżą ognie zaporowe artylerii... Poznać to — to był cel jego wyprawy.

Robi się późne popołudnie, trzeba wracać.

Znowu droga powrotna z tymi samymi trudnościami do odwodu baonu, stojącego w bardzo sprytnie zrobionych i zamaskowanych ziemiankach, na stoku jaru. Odwód wysyła patrol nocny, więc Naczelny Wódz wypytuje szczegółowo o tę akcję. Tymczasem zaczyna się już zmierzch i kiedy General decyduje się wreszcie na dalszą drogę do samochodu, wybuchają nagle silna kanonada.

Na ścieżce, którą mamy właśnie schodzić w dół, odbywa się zwykle przeladowywanie zaopatrzenia z samochodów na muły. Nieprzyjaciel wie o tym i ma nieuprzejmy zwyczaj ostrzeliwania tego miejsca dobrze wstrzelanym ogniem moździerzy. Ogień idzie celny i silny. Było by czystą lekkomyślnością iść teraz, więc czekamy jeszcze z godzinę, aż do zupełnej nocy.

Potem — zejście do samochodów i w kompletnym black-out'cie powrót tą samą drogą po wyrwach, dołach, dziurach do miejsca postoju.

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę — dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3666 książek

Polska podwodna

Na patrolu

Peryskop przeciął modrą głazinę zatoki. Na kilka sekund wysunął się z głębi lśniący pryzmat, znacząc ruch okrętu podwodnego marszczącym powierzchnię wody śladem. Zniknął. Powierzchnia morza zapadła znowu w spokojną kontemplację samej siebie.

W głębi wód odbijały się trzy cienie. Dwa nieruchome — skalistych wysepek Ali-Baba i Kafeteria, oraz jeden ruchomy cień, czy obraz, czy rzeczywisty przedmiot, czy wszystko razem — okręt podwodny.

"N 99" patrolował u wejścia do portu. Według posiadanych informacji, w najbliższych dniach konwój miał opuścić port. "W najbliższych dniach" — powtarzał w myślach dowódca. — "W najbliższych dniach, psiakrew. Pęta się tu już dziesięć dni i nic. Z nudów trzeba będzie storpedować Ali Babę".

"Peryskop w górę" — zwrócił się do marynarza obsługującego hydrauliczną pompę, poruszającą peryskop.

Oczy przywarły do okularów peryskopu. Nic.

"W dół peryskop." — "Schodzę do messy" — zwrócił się do stojącego na wachcie oficera nawigacyjnego. — "Kurs ten sam do piętnastej".

Przez wąski właz zsunął się do centrali i prostując ramiona wszedł do messy. Za stołem siedział porucznik-torpedysta i stawał pasjansa. Spotkamy konwój czy nie? Dowódca wziął do ręki "Life'a" sprzed trzech miesięcy. Wszystkie obrazki już wielokrotnie obejrzone, wszystkie "stories" umiane na pamięć. Nuda.

W pomieszczeniu marynarzy mat-sygnalista maluje na zapasowej torpedzie konterfekt Hitlera z napisem "Dla Ciebie wszystko". Załoga w hamakach i kojach pół drzemiac — odpoczywa. Na okręcie podwodnym bowiem dzień jest nocą, a noc dniem. W nocy okręt wychodzi na powierzchnię, aby naładować akumulatory. Wówczas przygotowuje się posiłki, oddycha świeżym powietrzem i wszyscy opalają się do syta papierosami.

Dowódca rzucił w kąt "Life" i zaczął studiować leżącą na stole mapę. Właściwie też znalazł wszystko na pamięć. Miał w głowie niejako plastyczny obraz terenu. Ali-Baba na lewo, Kafeteria trochę w głębi na prawo, tu tralowany kanał, wzdłuż dwóch mielizn. Na południe od mielizn mogą być miny.

Mierzy cyrklem odległości . . . Machinalnie patrzy na zegarek — 14,40.

"A może wejść do portu" — przechodzi mu przez głowę. — "Nie chce góra do Mahometa, to ja pójdę po konwój" —

"Zrobić pozycję" — huczy do oficera wachtowego. Rozsądek przypomina o minach, sieciach i aparatach podsłuchowych, ale kto by słuchał rozsądku nie pływałby na okrętach podwodnych.

Pozycję naniesiono na mapę. Kurs wejściowy 130°. Zanurzenie 40 stóp. Oba motory wolno naprzód. Okręt robi zwrot. W kiosku cisza. Dowódca uśmiecha się łobuzersko do porucznika, który nie może ukryć podniecenia.

"Peryskop w górę". Nic. "W dół peryskop". Nagle gwałtowny wstrząs. Światło na chwilę gaśnie.

Gdzieś nad głową, na górze, lekki wybuch. Wszystkie zawieszane przedmioty zakiwały się dziwnie. Wskazówki logu przesuwają się na "0".

"Sieć albo mielizna" — przemknęło przez głowę dowódcy. — "Oba motory stop" — pada rozkaz. — "Byle nie zaplątać śrub" — szepece podświadomy instykt.

"Napelnąć balasty" — dalsza komenda. — "Żeby nie wylecieć na powierzchnię" — dopowiada wierna podświadomość.

Na okręcie poruszenie: Co się stało?

Nad okrętem wybuchu druga bomba.

Zastępca przybiega do centrali. — "Jesteśmy w sieci" — zwraca się do dowódcy.

Okręt zatrzymał się zupełnie, rufa wolno "tonie", powodując lekki trym.

"Oba motory wolno wstecz", — pada komenda.

Naprężenie: czy śruby zaczną się kręcić, czy nie, zaplątane, czy czyste?

"Śruby pracują" — zameldował niepytany kierownik maszyn.

"Oba motory cała wstecz" — zakomenderował zdziwiony wlas-

nym głosem dowódca.

Długie sekundy oczekiwania. Wyjdzie, czy nie wyjdzie? Przez rurę peryskopu sączą się krople wody. Krople potu czuje dowódca na skroniach. Właściwie nie boi się, wierzy w swoje szczęście i nie myśli o tym, że za chwilę może mieć nad sobą zaalarmowaną wybuchem bomb — flotyllę ścigaczy.

Okręt zaczyna lekko drżeć. — "Wychodzimy, wychodzimy" — ryczy z dołu bosman. Wychodzimy — śmieją się oczy nawigatora.

Coś tam ociera się o zewnętrzne blachy kadłuba. Wszyscy czują raczej, niż słyszą zgrzyt stalowej sieci. Okręt wyraźnie idzie wstecz. — "Hurra" — wrzeszczy załoga.

Porucznik ściska dowódcę — nie nie mówią. Patrzą sobie głęboko w oczy.

"Lewy stop, na kurs 310° — lewy pół naprzód, prawy wolno wstecz — 30 stóp" — już głosem normalnym idą rozkazy.

"Nanieść pozycję sieci" —

"Peryskop w górę".

Czy wyszedł kto z portu na polowanie czy nie? Pusto — nic.

"W dół peryskop." —

"Czy są jakie uszkodzenia, bo tutaj peryskop wachtowy został

zalany wodą" — zwrócił się do zastępcy.

"Zdaje się, że wszystko w porządku, Panie Kapitanie" — zameldował zastępca.

"Wycofujemy się na linię dozoru" — decyduje dowódca.

W nocy stwierdzono lekkie otarcie kadłuba i uszkodzenie anteny. Jak na tyle emocji, to nie wiele.

I znowu jeden dzień nudnego patrolu.

Następną noc spędzono w półzanurzeniu w dryfie koło wejścia. Zauważono dwa kontrtorpedowce — statków handlowych nie zauważono, prawdopodobnie były malowane na kolor ochronny i niewidoczne na tle brzegu.

Dowódca postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia i wejść do portu.

Na dzień okręt pozostał przy wejściu. Po południu wykonano atak.

O godz. 16,00 "alarm bojowy". Dowódca przy peryskopie.

Przez główne wejście widać dobrze duży kontrtorpedowiec, przez cieśninę między Ali-Babą i Kafeterią — drugi mniejszy.

O 16,05 — "Aparat nr. 1 uwa-

ga".

"Gotowe" — melduje gospodarz dział.

"Pal".

Pierwsza torpeda poszła. Po 10 sekundach druga i trzecia. Po 27 sekundach od odpalenia pierwszej torpedy wybuch, potem drugi — dwa trafienia.

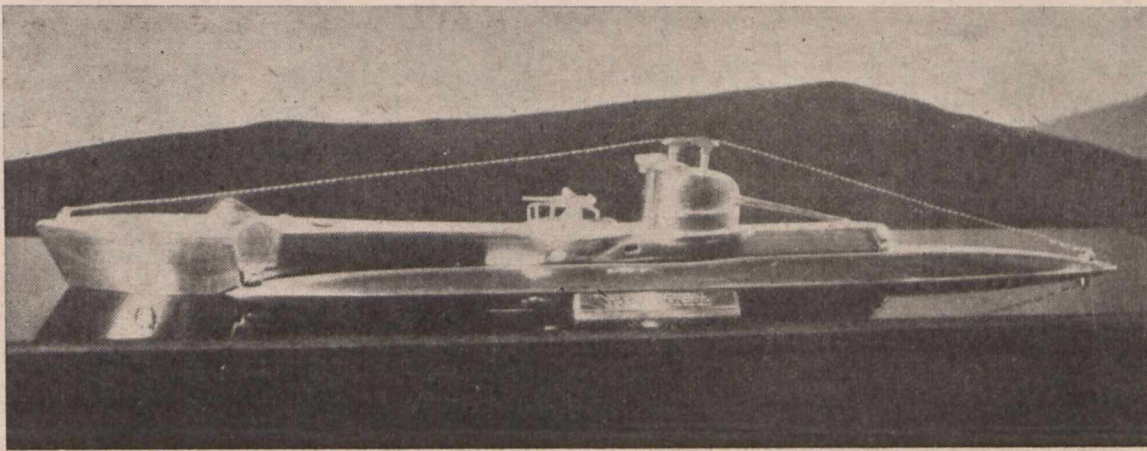
A teraz wycofać się z wejścia i załadować nową porcję na tego mniejszego.

Po kwadransie aparat podsłuchowy melduje: "Namiar 150° — śruby". Po chwili szereg wybuchów nad głową. To pewnie ten mniejszy wyskoczył mściwie śmierć tamtego.

Okręt kładzie się na dno. Wybuchy oddalają się. Jutro patrol się kończy.

"N 99" wraca do bazy. Na maszcie powiewa piracka bandera — tradycyjna oznaka zwycięskiej wyprawy.

JAN SZYLSKI



Rozmowa nie kleiła się. Od czterech dni siedzieliśmy już w sektorze, który wbrew przewidywaniom okazał się zupełnie pozbawiony ruchu. Tak zwane "mam przeczacnie, że dziś coś będzie szło", powtarzane codziennie po zanurzeniu, zawiadło na całej linii. Dzień dobiegał końca, czwarty dzień pod zwykle ruchliwym portem — i nic.

Zwachały dranie, że tu jesteśmy, czy co — mrucał Zygmunt, mieszając ku zgorzzeniu "łącznikowego" porridge z bekonem, piklami i musztardą.

Nikt mu nie odpowiedział, bo i co było gadać. Każdy był wściekły, zwłaszcza teraz, gdy po całodziennym zanurzeniu i po ugotowaniu śniadania, brak tlenu i nadciśnienie wewnątrz rozdrażniały pobudliwość nerwową i męczyły płuca szybkim oddechem.

Dowódca patrzył smętnie w filizankę pełną brudno-żółtawego płynu, zwanego w jadłospisie okrętowym "kawa z mlekiem" a następnie próbował lyżeczką, jaką reakcję wywoła zetknięcie tej cieczy z wątpliwą jakością srebrnym. Zdawał się być tą "alchemią" pochłonięty zupełnie.

Ja się po prostu nudziłem. Śniadanie zjadłem, do wachty miałem jeszcze piętnaście minut.

Z centrali słychać szum podnoszonego peryskopu i trzask kontaktów elektrycznych.

— Musi być ciemno, bo Karol gasi światło w centrali — mówię.

Za chwilę pokazuje się przez kurtynę odgradzającą mesę zardarty nos Karola.

— Już ciemno, panie kapitanie, czy mogą zejść głęboko?

— Tak — mówi dowódca. — Czy podsłuch nie słyszy?

— Nie.

Wychodzę do centrali i mówię:

— Odpompuj Karol po dziesięć z dziobu i rufy i idź na śniadanie. — Kiwnął głową, rachując w myśli sekundy ruchu pompy.

Obejmuję wachtę. Idziemy teraz ślepo. Sprawdzam, czy Diesle gotowe do ruchu, stan baterii, nadciśnienie. Okręt trzyma się doskonale na nakazanej głębokości, ster-

Ich nieudany urlop

nik rufowy przygotowuje lornetki na pomost.

— Pogasić światła białe, zapalić czerwone. — Trzeba przed wynurzeniem przyzwyczaić wzrok do ciemności.

Dowódca już jest w centrali.

— Podsłuch, obsłuchać. Otworzyć dolny właz.

"Wódz" z sygnalistą poszli do kiosku. W swetrach z lornetkami.

— Podsłuch nic nie słyszy.

— Wynurzenie na sterach — pada stłumiona komenda z góry.

— Szasować balasty.

Syk powietrza w rurociągach.

Okręt zakolysał się, przerywając powierzchnię morza; woda z szumem spłynęła z pomostu i pokładu.

— Na powierzchni.

Szczęknął górny właz, uszy zabolaly nieprzyjemnie od nagłego spadku ciśnienia. Chwila oczekiwania . . . Aż dobrze obejrzą horyzont . . .

— Ster prawo na burt . . .

— Ster leży prawo na burt.

Cisza . . . Czuję, że serce zaczyna mi bić nieco szybciej . . . Tam na górze coś widzę . . .

Uplywające sekundy wydają się nieskończenie długie . . .

— Ster zero! Obsada przygotować się do dział! Podać "cekaem".

— Alarm bojowy nawodny!

Stłumiony buczonek poderwał wszystkich na nogi. W ciągu kilku sekund ludzie byli na stanowiskach. W wejściu do centrali mała grupka: obsada dział, wśród nich zamkowy właśnie zdejmując białe fartuch kucharki i wyciera ręce z rozrabianego ciasta na chleb.

— Obsada do dział!

Tylko śmignęło w czarną czeluść kiosku. Stalowa drabinka zadźwięczała pod stopami. Na pomoście sucho zastukał karabin maszynowy . . .

Pierwszy strzał z dział . . .

Jakby ktoś mocno tupnął w kadłub nad głową . . . Drugi . . . Pociski wędrują z błyskawiczną szybkością poprzez łańcuch rąk ludzkich wzdłuż okrętu i do góry . . .

Nagle w naszą kanonadę wplątuje się głos inny, jakby trzapanie dywanów. Czterdziestka automatyczna. W nikłym świetle czerwonych żarówek widzę zwię-

jące się zaciętością oczy i zaciskające się szczęki podających amunicję. Pociski idą jeszcze szybciej, trudno doprawdy je teraz prowadzić wzrokiem.

Nie mam nic do roboty; całe moje zajęcie to stać, czekać i mieć okręt gotów do zanurzenia. Okręt jest gotów, stoję więc i czekam . . .

Oparłem się o spuszczonego peryskop blisko tuby głosowej. Jeszcze raz rzuciłem okiem na błękitne światła kontrolne sterów i pomp hydraulicznych. Wszystko w porządku . . .

Tysiące idiotycznych myśli przesuwa mi się przez głowę, nie chcę ich nawet porządkować. Dominuje uczucie zadowolenia, że mijają minuty mojej wachty i że będę krócej stał na pomoście, wytrzeszczając oczy przez lornetkę w granatową ciemność . . . Nawet się nie boję. Po prostu nie chce mi się wierzyć, że mogą nas "utrąpić", że fatalny pocisk nieprzyjaciela może zrobić nam dziurę lub wytłuc tych co są na górze.

Jakby na przekór moim myślom słyszę wybuchy gdzieś na górze, jakby na pokładzie. Jeden . . .



ANDRZEJ GUZOWSKI

Junacy wystawiają "Halke"

(Korespondencja własna "Polski Walczącej"*)



Uśmiech młodości

m.p. Środkowy Wschód,
w styczniu 1944

Kadeci mają najlepszy chór, są i soliści, a nieznany przedtem na Środkowym Wschodzie repertuar piosenek żołnierskich, powstałych w Rosji, wzrusza słuchaczy w mundurach, czy uchodźców w Jerozolimie i Tel-Awivie. Chór pracuje pilnie nie tylko nad takim programem.

W świetlicy Polskiej Y.M.C.A., na próbach chóru, słychać i dawne rzeczy polskie, zwłaszcza Moniuszko dobrze wychodzi w tym zespole tak trudnym, bo niemal ciągle przechodzącym mutacje. Chór śpiewa "Halke", raz, drugi, i chce jeszcze. Kierownik, niezmordowany st. strzelec U., o nazwisku bardzo znanym w Warszawie, docenia zapal młodzieży, docenia własne siły i — porywa się na rzecz wielką: wystawi "Halke"!

Koledzy nauczyciele stukają się w głowę: — "Stas zwarował". Ale Stas jest uparty. Dowódca Szkół Junaków, pracy kulturalnej zawsze bardzo życzliwy, daje swą aprobatę. Zaczyna się w kwietniu 1943 roku, a już 27 czerwca w dzień trzech solenizantów — Prezydenta R.P., generała Sikorskiego i generała Andersa — odbywa się premiera "Halki".

Trzy akty są fragmentem opery Moniuszki, fragmentem przede wszystkim chóralnym, są jednak i partie solowe. Wykonawcy, to junacy i młodsze ochotniczki z wyjątkiem samej Halki i Zosi, obsadzonych przez nauczycielki śpiewu.

Przygotowania są trudne, próby niesłychanie uciążliwe przy i tak już wielkim przeciążeniu codziennymi zajęciami. Młodsze ochotniczki przyjeżdżają na próby z innego m.p., osobno odbywają się lekcje tańca — mazura i zbójnickiego. Pierwsza, druga i trzecia lekcja tańca, to rozpacz. Dziewczęta tańczą naturalnie ładnie, właściwie nie trzeba je uczyć. Kadeci niestety — jak niedźwiadki. Chór wypada najlepiej, zwłaszcza mieszany.

Ale gdzie dekoracje, gdzie kostiumy? Polska Y.M.C.A. otwiera pracownię artystyczną, daje pracownice. Dekoracje opracowuje art. malarz Tadeusz Terlecki przy współudziale p. J. Prażmowskiej. "Imka" daje także całą organizację techniczną przewidywanych przedstawień.

Nagi niedawno projekt nabiera barwy, życia, treści, ba! zapowiada się nawet "imponująco" lub "katastrofalnie", zależnie od zasadniczej postawy krytyków.

* Por. poprzednie korespondencje z tego cyklu "Szkrapy i dryblasy" druk. w nr. 14-15, "Pensjonarki w mundurach" druk. w nr. 18 "Polski Walczącej" z b.r. W jednym z najbliższych numerów: "Kapliczka na rozstaju dróg".

ją ją dwa pianina/, ale z wykonawcami, którzy czarem swej radosnej młodości, siłą swego ogromnego wysiłku, dokonanego w czasie dosłownie ukradzionym wycieczki, nieprzemyślany wdziękiem wyczarowują widowisko jedyne, pierwsze w tej długiej już serii przedstawień polskich, oglądanych na Środkowym Wschodzie.

Premiera, jak zwykle, nie jest jeszcze bez zarzutu. Ale już na drugi dzień Naczelny Wódz generał Sikorski, który tutaj odebrał swą ostatnią w życiu defiladę, defiladę młodzieży junackiej, nie może oczu oderwać od zaprezentowanego mu jednego aktu junackiej "Halki". Mazur wypada, jakby tańczyła go młodzież nie na scenie, a gdzieś między sobą.

A potem idą dalsze przedstawienia, różne — w rozmaitych warunkach obozowych i miejskich. W Jerozolimie wielka sala "Edisona", mieszcząca ponad 1000 osób, jest szczelnie nabitą. Sukces zupełny. Naturalnie nie wolno patrzeć na tę "Halke", tak inną od przedwojennych, zawodowych, jak na widowisko czysto artystyczne. Przecież, raz jeszcze powiemy, Jontek ma lat 16, a całość wykonuje młodzież, ta sama, która przechodziła tyle lat poniewierki, a przedtem często nawet nie widziała takich przedstawień. Wreszcie, czyż to nie ona właśnie po raz pierwszy wystawiła operę polską, tutaj na Wschodzie?

Oddźwięk jest wielki, również w Tel-Awivie, ale największy w obozach wojska polskiego, gdzie gra się i śpiewa w warunkach technicznie fatalnych, ale uczuciowo najlepszych, wprost wymarzonych. Sale kinowe przepelnione do granic wytrzymałości. Jest lipiec, sierpień: gorąco straszne. Ale na widowni cisza skupiona, na widowni wzruszenie miesza się z radosnym poklaskiem.

W jednym tylko obozie trzy przedstawienia dzień po dniu mają komplet widowni, już w przed-

Próba chóru w świetlicy "Imki"



DWUNASTY MAJA

Ubiegły tydzień przyniósł dwa doniosłe wydarzenia w życiu naszej zbiorowości żołnierskiej. Dwunastego maja wszedł do akcji bojowej na wielką skalę II. Korpus polski we Włoszech. Tego samego dnia Prezydent Rzeczypospolitej z tytułu przysługującego mu konstytucyjnie prawa podpisał amnestię dla skazanych na podstawie kodeksu wojakowego.

Zbieżność tych dwóch faktów nie jest przypadkowa — jest świadoma i pełna głębokiej wymowy. Oczywiście chwila, w której żołnierz polski mógł podjąć znowu walkę, zależała od wielu czynników, od wielu okoliczności, znajdujących się poza zasięgiem naszego wpływu. Ale związane z tym dniem gestu przebaczenia było zrobione celowo.

W chwili, gdy żołnierz polski znowu przelewał krew, gdy jeszcze raz składa świadectwo swojej wierności, niezłomności swojej woli — amnestia otwiera drogę do rehabilitacji tym wszystkim, którzy popełnili przewinienia i otrzymali za nie przewidzianą przez prawo wymiar kary. W chwili, gdy zaczyna się najcięższy, ale ostatni etap walki, gdy otwiera się ostatni także etap drogi powrotnej do Ojczyzny — wszyscy otrzymują jednaką możliwość spłacenia długu wobec Kraju, jednaką możliwość zasłużenia sobie na powrót w jego granice. To jest istotny sens moralny i wychowawczy ogłoszonego aktu.

Ma sens moralny także data trzeciego maja, jako termin amnestii, jako granica, od której wstecz następuje odpuszczenie, względnie zmniejszenie kary. Świadomie przyjęto tę datę. Jest to dzień święta narodowego, jest to dzień, z którym łączymy się pamięć Konstytucji, poczętej w duchu bratniej jedności i zespolenia — dla obrony wartości wspólnych i najwyższych. Wszyscy dziś stoimy przed zadaniem walki o wartości wspólne, najwyższe, najdroższe każdemu, kto czuje się obywatelem Rzeczypospolitej.

Amnestia obejmuje także grupkę niedawno skazanych dezertersów. Jednak było by błędem ograniczać praktyczne znaczenie najwyższej decyzji tylko do nich. Dzięki temu aktowi setki naszych kolegów tu i na Bliskim Wschodzie otrzymują szansę powrotu do szeregów, oczyszczenia się, spełnienia razem z nami żołnierskiego obowiązku.

My żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na ziemi brytyjskiej doceniamy znaczenie gestu, jaki stanowi amnestia. Jakkolwiek bolesne były pewne ostatnie wydarzenia, witamy ten gest jako nakaz obowiązujący nas wszystkich. Przyjmujemy po bratersku i żołniersku tych, których decyzja Głowy Państwa zwróci naszym szeregom.

Przyjmujemy ich tym serdeczniej, że myśl nasza kieruje się w tej chwili

ku ziemi włoskiej, na której znowu leje się krew polska, że kieruje się też ku innym widnokrogom, ku widokom stanowiącym obietnicę walki także dla nas. Poza linią, którą II. Korpus forsuje bagnietami, poza zamkniętym jeszcze i milczącym widnokresem przed nami — leży droga ku wolnej, wspólnej, sprawiedliwej Ojczyźnie. I to tylko jest ważne!

Ciężkie było dla II. Korpusu polskiego we Włoszech, ciężkie są dla nas ostatnie godziny przed nową próbą, nie lekko je przetrzymać kolegom lotnikom i marynarzom, walczącym ciągle, bez przerwy, z nieustającą ani na chwilę ofiarnością. Uderza w nas, w nasze dobre imię, w naszą wolę i wiarę pasja nienawiści, zapamiętała pasja, aby nam szkodzić. Z niespodziewanych stron przychodzi im sukces. Żołnierze II. Korpusu odpowiedzieli już na to językiem, jakim zwykli odpowiadać żołnierze. Takim samym językiem odpowiemy my, których los skazał na najdłuższe i najtrudniejsze oczekiwanie, na najtrudniejsze milczenie.

Akt z dnia dwunastego maja towarzyszy nam język prawa, na język moralności międzyludzkiej sens walki, trwającej od września 1939 roku. "O sprawiedliwą bijemy się rzecz". Kto sprawiedliwy, kto prawy, kto czysty w sumieniu — jest z nami.

ALEKSANDER JANOWSKI

spzedaży, wieczorem setki żołnierzy odchodzą od kasy. Referat oświatowy obozu domaga się więcej przedstawień. Jednak zaczyna się rok szkolny. Nauka ma pierwszeństwo.

W Rehovoth, ładnym miasteczku palestyńskim, jest też przedstawienie junackie. Warunki znakomite, sala piękna, scena wielka. A jednak haczy się wszystko, czołowa tancerka, wdzięczna Zosia dostaje ataku malarii, Jontek jest niedysponowany, a najgorsze, że akustyka sali nawala. Co się sta-

ło? Po prostu młode głosy "idą pod niebiosy", całkiem dosłownie. Nie ma dachu. Wszystko ucieka w niebo, jaskrawo gwiazdami wybite. To tuż przed pierwszym aktem jeden z dekoratorów /też junacy/ majstrując, kręcąc i zaglądając wszędzie, pokręcił zbyt wiele a nie-dobrze, i nagle — rozsunał dach, otwierany automatycznie. Miejscowy spec poszedł i "Halke" trzeba było śpiewać pod gołym niebem, za to bez akustyki.

Zupełnie inna jest znow "Halka", zaimprovizowana w angielskim obozie warsztatowym, w którym ulokowała się jedna z mechanicznych szkół junackich. Kilka dni przed przedstawieniem, o które bardzo ubiegają się Anglicy, ogładamy salę. Rozpacz! Sali nie ma. Jest tylko ogromna, na jakieś 5000 osób hala montażowa, przeraźliwie wysoka, bez bocznych ścian. Nie ma też sceny, nie ma niczego. "Never mind" — mówią Anglicy — wszystko będzie, co chcecie. Nie bardzo się pocieszamy, bo łatwiej by tu jeździć autem, a jak przesadzają trochę dziewczęta, latać samolotem, niż grać i śpiewać. Ale grać trzeba!

W dniu przedstawienia jest wszystko. Anglicy są słowni. Saperzy postawili ogromną scenę, założyli światła, zawiesili junacką /a jakże! / kurtynę, sprowadzili liczną, przeszło tysięczną publiczność, częściowo murzyńską. Po przedstawieniu gościnni gospodarze zapewniają, że wszystko było "very nice", czemu nie bardzo wierzymy. Nasi nie grali na zwykłym poziomie. Warunki były zbyt trudne i trzeba by zawodowych aktorów, żeby nie speszyły się tą obcą, białą-czarną widownią. Jeszcze jedno doświadczenie więcej.

Ostatni w 1943 roku pokaz junackiej "Halki" ogłąda Wódz Naczelny generał Sosnkowski. Chociaż tylko jeden akt, ale wystarcza! Gościowi i wykonawcom. Nic nie zaszkoziła długa przerwa bez prób, odległość m.p. młodszych ochotniczek, uniemożliwiająca lepsze przypomnienie. Akt wychodzi wspaniale.

Rozmach najlepszej jakości bije z obozowej sceny, to młodość tańczy tutaj swego mazura i zbójnickiego, młodość, która znow się odnalazła w pieśni polskiej i w tańcu. Młodość uśmiechnięta, urodą zwycięska.

Jednaście przedstawień junackiej "Halki", to nie tylko część historii odradzania się młodzieży polskiej na Ziemi Świętej, jej pracy i dążeń. Ale to również cenny wkład w psychikę tej smutnej na ogół młodzieży, wkład uśmiechu, radości i siły. Junacy i młodsze ochotniczki oglądające tę "Halke" poprawili swą kondycję duchową na pewno.

Nabrali większej młodości.

TADEUSZ PNIEWSKI

Amerykański uśmiech

(Zjazd ochotników z Ameryki i Kanady żołnierzy WP.)



Porucznik Tice — Amerykanin w Wojsku Polskim

Porucznik Tice nie lubi, aby go tytułowano "porucznikiem". — Jestem "Dick", po prostu Dick, a nie żaden porucznik — zwraca uwagę.

Niechże więc będzie tym "Dickiem", skoro sam tak chce. Porucznik Tice jest w Wojsku Polskim od trzech lat. Jest Amerykaninem, nie mającym nic wspólnego z Polską. I gdyby nawet ktoś bardzo się upierał, nie znajdzie polskiej krwi w żadnym z poprzedzających Dicka pokoleniu.

Tice wstąpił do Wojska Polskiego wówczas, kiedy Stany Zjednoczone jeszcze nie były w wojnie. I pozostaje do dziś. Najpierw był w Kanadzie, gdzie odbył przeszkolenie rekrucie, potem przyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie dostał się do Brygady Spadochronowej. No a teraz jest podporucznikiem. Przez czas swojej służby wojskowej Dick nauczył się po polsku i może dzisiaj wyrazić w naszym języku nie tylko najprymitywniejsze sprawy, ale może mówić o wszystkich od wielkich zagadnień międzynarodowych poczynając a na ćwiczeniach wojskowych skończywszy.

Śmieje się jednak nadal po swojemu — po amerykańsku. Bo ten "amerykański śmiech" jest czymś całkiem innym od naszego. Jest bardziej pełny, bezpośrednijszy... Po prostu słysząc śmiech Dicka, mam wrażenie, że śmieje się całym sobą, a nie tylko wargami i gardłem. Śmieją się jego oczy, śmieją się wspaniałe, równiutkie zęby, śmieje się cała młodzieńcza postać dwudziestokiloletniego oficera polskiego.

Co go skłoniło do wstąpienia w polskie szeregi — nie trudno zgadnąć. Czyny wojenne, dzieje orężnych zmagani i zwycięstw, bohaterstwo, zdolność do najwyższych ofiar i poświęcenia przewijały się subtelna nicią legendy w życiu wszystkich narodów. Do czynów orężnych sięgała pieśń, aby ich sławę przekazywać następnym pokoleniom. Muza skłaniała się do walk ofiarnych, aby uwiecznić je wawrzynem nieśmiertelności.

I wszystkie dzieci wszystkich narodów świata karmiły się pieśniami i legendami, wchłaniając ich treść całą duszą, aby przekształcać w rozpalonych główkach dzieciennych legendy w marzenia, w których na wielkich pobożowskich widziały same siebie w roli głównych bohaterów. I śniły sen o sławie — nieśmiertelny, jak sama sława.

Cóż z tego, że drapacze chmur przesłaniały błękitne niebo, a gwar olbrzymich miast tętnił nieustannymi odgłosami ulicznego ruchu? Dziecko zrastało się z nieuchwytnym, wysnionym obrazem, dając mu serdeczne ramy własnej duszy; od nich obrazu nie mógł już odzielić ani bieg wydarzeń, ani bieg czasu.

"Sława Miltiadesa spędzała sen z powiek" nie tylko Themistoklesa, ale z powiek wielu dzieci na świecie, które rosły w miłości przebrzmiałych pieśni o bohaterstwie. I miłość tę niosły przed siebie w życie.

Trzy lata temu młodzież całego świata wierzyła, że wojna obecna toczy się o lepsze i sprawiedliwe jutro wszystkich narodów — wierzyła, że wojna obecna jest gigan-

tycznym pojedynkiem słuszności i przemocy. I stawała po stronie słuszności wierząc, iż ona zwycięży i okryje żołnierzy słusznej sprawy wawrzynem nieśmiertelności.

A czy jest na świecie słuszniejsza od polskiej sprawa? Nie ma. Na pewno nie ma. Wie o tym cały świat, a trzy lata temu miał jeszcze dosyć siły, aby to otwarcie głosić. Przynajmniej w wielkiej ojczyźnie wolności — w Stanach Zjednoczonych.

Oto dlaczego Dick jest w Wojsku Polskim. I oto dlaczego w naszych szeregach mamy Amerykanów i Kanadyjczyków polskiego pochodzenia. Bo przecież — powiedzmy szczerze — są to nie tylko obywatele amerykańscy, ale i patrioci amerykańscy.

Zjazd ochotników z Ameryki i Kanady w Polskich Siłach Zbrojnych, odbyty w pierwszej dekadzie maja rb. w Edynburgu był znakomitą świadectwem zarówno tej prawdy, że są to Amerykanie, jak i tej, że głęboko wryty mają w sercach szacunek i kult dla polskości. I jeszcze jedną mają cechą: pogodę wewnętrzną i zewnętrzną. Naprawdę zastanawiałem się i podczas posiłków i podczas obrad tego zjazdu, czy ci wszyscy ludzie, których widzę, mają specjalne powody do pogody ducha. I dotychczas nie odpowiedziałem sobie na to pytanie.

Spójrzcie na salę. Znajduje się w niej ponad 50 osób w mundurach lotniczych i lądowych. Marynarze nie mogli przyjechać. Pewno pozwolenia i przepustki przyszły za późno, a może właśnie nie mogli mieć przepustek? Wśród tych przeszło 50-ciu osób widzę tylko dwie gwiazdki oficerskie: jedną ma Dick, czystej krwi Amerykanin, drugą zaś Amerykanin pochodzenia polskiego, niezwykle blisko związany z polskością. Sądzę, że jest on właściwie obywatelem amerykańskim narodowości polskiej. Spośród wszystkich zebranych tylko jeden jest uczniem Szkoły Podchorążych.

Patrzę na tę salę i stwierdzam, że ochotnicy do Wojska Polskiego z Ameryki i Kanady nie zrobili wśród nas kariery wojskowej. Ochotniczką — również nie. Tylko jedna jest podporucznikiem P.S.W.K. I wyobrażam sobie zjazd tej samej ilości osób, któreby tak samo przez trzy lata przebywały w wojsku niemal nie awansując... Na pewno nie było by na takim zjeździe tej pogody, która cechowała Amerykanów i Kanadyjczyków, ochotników Polskich Sił Zbrojnych.

W tym czasie sekretarz generalny zdawał zjazdowi sprawozdanie, z którego jasno wynika, iż zarząd Komitetu Ochotników z Ameryki i Kanady w Polskich Siłach Zbrojnych uczynił wszystko, co mógł, aby zapewnić członkom prawo występowania w mundurach polskich po wojnie w czasie uroczystości polskich w Ameryce. Nie jest to wielkie zagadnienie. Ale podkreślić je trzeba, bo nie ma i nie może być większego świadectwa miłości munduru polskiego, jak właśnie ten krok zarządu Komitetu.

Ze sprawozdania dowiadujemy się również o żywym kontakcie Komitetu z Polonią Amerykańską, a z zamierzeń na przyszłość o konieczności zapewnienia inwalidom

wojennym dostatecznych środków do życia. Słucham z rozwieszonymi uszami, bo znowu ze słów sprawozdawcy bije najwyższa prostota. Mówi mniej więcej tak:

Będziemy musieli zwrócić się do Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej w Chicago o zapewnienie naszemu koledze Bronisławowi Godlewskiemu większej opieki i pomocy. Wprawdzie Polonia Amerykańska zebrała dla niego 10.000 dolarów, ale to mało, bo kolega Godlewski stracił na wojnie obie ręce, a więc jest stuprocentowym inwalidą.

Kolega Bronisław Godlewski! Przecież jest to najbardziej odznaczony żołnierz w wojnie obecnej. Przecież jest to ochotnik ze Stanów Zjednoczonych, jeden z najmłodszych żołnierzy, bo ma teraz dopiero 20 lat. Przecież właśnie Godlewski jest już dzisiaj symbolem najszlachetniejszej ofiary, składanej na ołtarzu zwycięstwa sprawiedliwości i słuszności nad przemocą i brutalną siłą. Oczywiście, że mu się należy. Bo zabezpieczenie przyszłości Godlewskiego od dawna przestało być sprawą osobistą, stając się zagadnieniem wychowawczym. On siedzi do wojska wiedziony urukiem legendy i pieśni o bohaterstwie i sławie, i wierzył, że bohaterstwo w obronie sprawy słusznej musi być nagrodzone.

Ale te same słowa na zjeździe edynburskim brzmią inaczej. I przyznać muszę, że lepiej, bo prościej. "Będziemy musieli zwrócić się do Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej w Chicago o zapewnienie koledze naszemu Bronisławowi Godlewskiemu większej opieki i pomocy". Bo mu się ta "pomoc i opieka" należy.

I jestem pewien, że pod listem Zarządu Komitetu Ochotników Amerykan i Kanadyjczyków w Polskich Siłach Zbrojnych podpisuje się zgodna opinia żołnierska.

Zjazd toczy się dalej. W atmosferze prostych słów, spraw koleżeńskich i wzajemnej serdeczności sprawozdanie dobiega końca. I na tym kończy się pierwsze plenum.

Bo zjazd jest zorganizowany po amerykańsku: namyślicie się przed zabraniem głosu w dyskusji, która odbędzie się dopiero jutro. Ta inowacja specjalnie przypadła mi do gustu i sądzę, że wiele zjazdów powinno ją przyswoić.

Wszelchny uczeń Szkoły Podchorążych zasiadł do fortepianu, grupki rozbiły się po kątach wielkiej sali zjazdowej, zwolennicy piwa zasiadli w czytelni w oczekiwaniu na otwarcie barów na mieście, a większość rozsiadła się przy czystych stołach sali jadalnej, gdzie znowu panuje uśmiech.

A mnie znów nasuwają się porównania. Dlaczego polski klub żołnierski musi mieć nastrój kiepskiej jadłodajni? Dlaczego polski klub żołnierski musi mieć na stołach brudne obrusy? Dlaczego ręcznik w umywalni jedyne polskiego klubu żołnierskiego w Wielkiej Brytanii nigdy nie jest czysty?

I wreszcie dlaczego doskonały posiłek w Amerykańskim Czerwonym Krzyżu kosztuje 1/3 /dosłownie jeden shiling trzy pence/, a w jedynym polskim klubie żołnierskim w Wielkiej Brytanii znacznie drożej? Żołnierz polski ma grubo niższy żołd od amerykańskiego.

Doszedłem do wniosku, że jest to skutek amerykańskiego uśmiechu. Skutek dobry i... praktyczny. Bo przecież łatwiej jest zebrać okruszyny chleba ze stołu nieprzykrytego obrusem, niż z obrusu. I czyściej i wygodniej. Tam zaś, gdzie jest wygoda i czystość, uśmiech panować musi.

Widocznie są jakieś inne założenia, inne podstawy, na których opierają się w tym samym celu tworzone instytucje nasze i amerykańskie.

Są również inne założenia i samego zjazdu koleżeńkiego. Jeszcze w pierwszym dniu wieczorem odbyło się zebranie towarzyskie, wypełnione anegdotami i śpiewami, opowiadaniem i dowcipem. I okazało się, że tak łatwo i prosto jest znaleźć to, co ludzi łączy, a nie dzieli. Zresztą nie tylko "na wesoło", bo kulminacyjnym punktem tego wieczoru było opowiadanie p. Bielaka o Kraju, wysłuchane z zapartym tchem przez wszystkich.

Tak zakończył się pierwszy dzień zjazdu.

Nazajutrz rozpoczęto mszą za poległych ochotników z Ameryki i Kanady. I tu należy powiedzieć, że w Polskich Siłach Zbrojnych zginęło ich jedenastu: 7-miu w lotnictwie i 4-ech w marynarce. Nie każdy z nas wie o tym. A wiedzieć powinien, bo krew ta przelana została w służbie Sprawie Polskiej — w służbie tym szlachetniejszej, że nakazanej samemu sobie dobrowolnie.

Po południu zebrało się drugie plenum zjazdu. Przybył na nie General Dowódca WP. w Wielkiej Brytanii, który z zaciekawieniem słuchał przebiegu zjazdu.

Plenum to było uroczyste. Ale nie cechowała go bezduszna pompa — proste było, jak cały zjazd.

—Kto będzie przewodniczył?

Sprawa była jasna dla wszystkich.

—Kol. Dolaciński.

Bo kol. Dblaciński w mundurze polskim odbywa już drugą wojnę. Był w swoim czasie najmłodszym żołnierzem armii gen. Hallera, dzisiaj jest znowu w Wojsku Polskim. I znowu jest ochotnikiem. Nie wiem, co robi w cywilu — w wojsku jest starszym strzelcem, co chyba nie świadczy o zawrotnej karierze, jak na niemal 30 lat.

Przewodniczący otwiera plenum, wita Dowódcę WP. w W. Brytanii i prosi go o przemówienie do zebranych. A natychmiast po przemówieniu zarządza przerwę, aby dać możliwość zarówno Dowódcy WP. w W. Brytanii, jak i uczestnikom zjazdu wzajemnej rozmowy.

Cóż dziwnego, że wszyscy żołnierze są zadowoleni? Nie mają oni zbyt częstych okazji do prowadzenia rozmów z Generałem-Dowódcą. Naturalnie fotograf uwija się po sali, bo wszyscy chcą mieć na pamiątkę fotografię z tej okazji.

I znowu robi się nastrój. Serdeczny, pogodny nastrój wzajemnej życzliwości i zrozumienia. A to jest chyba największą zaletą organizacji wszelkich koleżeńskich zebrań i zjazdów.

Przemówienie przedstawiciela Światowego Związku Polaków z Zagranicy, niezwykle trafne i znakomicie przemyślane, krótkie mowy obecnych na sali Polaków z Francji i Belgii, oraz p. Bielaka, który — jak wiadomo — przed kilku miesiącami opuścił Kraj przyjmowane są z najwyższym zadowoleniem. Bo w atmosferze wzajemnej życzliwości i serdeczności wszyscy mówcy dobierają najprostych słów — takich, które wprost w serca trafiają.

A serca te są czule i szlachetne. Przejawia się to najlepiej w dwu rezolucjach, uchwalonych przez zjazd. Jedna dotyczy rzekomego antysemityzmu w Wojsku Polskim, druga niektórych jednostek polskich z Ameryki, uzurpujących sobie prawo przemawiania w imieniu Polonii Amerykańskiej w rozmowach z rządami innych państw.

Pierwsza rezolucja głosi, że odbywając od szeregu lat służbę w różnych oddziałach Wojska Polskiego ochotnicy z Ameryki i Kanady nie zauważyli objawów antysemityzmu. Być może zdarzały się sporadyczne wypadki, wynikające jednak z nieżołnierskiego zachowania się niektórych jednostek,

a nie z powodu różnicy rasy, lub wyznania.

Druga rezolucja stwierdza, że tylko Kongres organizacji polskich w Ameryce ma prawo udzielania pełnomocnictw do prowadzenia jakichkolwiek rozmów z przedstawicielami innych państw w imieniu Polonii Amerykańskiej.

I tak się zjazd kończy. Jeszcze kilka głosów o sprawozdaniu, złożonym przez sekretarza w dniu poprzednim, wolne głosy i wnioski i zamknięcie. I znowu pogodnie sale Amerykańskiego Czerwonego Krzyża zapelniają się grupkami zjazdowców, oczekujących wieczornego dancingu, podczas którego niespodziankę sprawiła Lwowska Fala.

I tu znowu wrócimy do organizacji. Dancng zapowiedziany jest od dawna. To też go zamknięciu zjazdu z sali natychmiast usunięto krzesła, jeszcze raz przejechało posadzkę szczotkami i sprawdzono gramofon. O godzinie siódmej zaczął się dancng. Pełno na nim było Amerykanów i Kanadyjczyków. Bardzo wielu było Polaków. Przemieniały się ze sobą ciemniejsze kurtki oficerskie i marynarskie bluzy, battle-dressy i amerykańskie mundury. I zabawa odbywała się w najlepsze.

W pewnej chwili jeden z Polaków zapowiedział: "Mamy wśród nas polską czołwkę. Za chwilę zrobią koncert". Zarząd klubu był wdzięczny za ten pomysł. Nikomu nie przyszło do głowy, że przecież za chwilę sala będzie pełna niedopałków, że trzeba znowu ustawiać krzesła, i że w ogóle...

Koncert był doskonały. Publiczność słuchała go bardzo uważnie i szczerze cieszyła się z każdego dowcipu. "Lwowskiej Fali" należy się, naprawdę należy się złożyć gratulacje za ten koncert, o którym Amerykanie mówili z najwyższym uznaniem, podkreślając, że dotychczas nigdy nie mieli okazji słyszeć polskiej muzyki i śpiewu, lub widzieć polskich aktorów.

Rozpisałem się o całym zjeździe może nadmiernie, ale sądzę, że słusznie. Warto jest bowiem podkreślić wszystko, co jest dodatnie i warto stwierdzić kilka oczywistych prawd, dotyczących nie tylko dziedziny organizacyjnej, w której okazujemy się dziećmi w porównaniu z Amerykanami. Warto jest również w czasach niezwykle trudnych i ciężkich spojrzeć na uśmiech amerykański, spojrzeć na systematycznie gaszone wartości dalekich ech legendy i pieśni, na których wyrosli wszyscy. Warto po prostu dlatego, że łatwiej jest żyć i łatwiej jest wbrew nadziei wierzyć, iż ostateczne zwycięstwo odniesie sprawiedliwość i słuszność. Tak, jak je w legendach odnosi.

I dobrze jest — chociażby przez jedną chwilę — marzyć, że w świecie jutra wszyscy będziemy śmieli się "po amerykańsku": śmiechem pełnym, młodzieńczym, szczerem. Takim samym, jak śmieje się Dick — Amerykanin oficer Wojsk Polskich — takim samym, jak śmieją się wszyscy ochotnicy z Ameryki i Kanady w Polskich Siłach Zbrojnych, od których przyprowadziła ich szlachetna troska o lepszy świat.

JANUSZ LASKOWSKI

General Gluchowski wśród uczestników Zjazdu



Drogi Redaktorze!

To nie jest list z podróży, jak obiecywałem, gdyż sześć-tymgodniowy objazd polskich dywizjonów lotniczych, szkół pilotażu i obozów naszych marynarzy, nie stwarzał ku temu żadnych możliwości; pracowaliśmy z brytyjską E.N.S.A. a wiadomo, że Anglicy dają teraz tempo... inwazyjne nawet takim objazdom oświatowo-propagandowym. Sądzą jednak, że Czytelnicy powitali tę kilkutygodniową przerwę w felietonach "Bez blackoutu" jako miłą niespodziankę ze strony redakcji "Polski Walczącej". Jak ludzie są bardzo spragnieni sensacji przekonałem się z racji tej krótkiej przerwy w mojej skromnej pisaninie: na terenie Anglii dowiedziałem się, że mnie... zamknęli /kto i za co nie wiadomo/, w Londynie powiedziano mi, że byłem we Włoszech pod Anzio /jeszcze mnie tam brakowało!/, a w Szkocji doszła do mnie — oczywiście początkowo — wersja, że podobno zbiegłem do lotnictwa, ponieważ w armii lądowej sekowali mnie jako... ciemnego bruneta.

Początkowo działa chyba najsprawniej ze wszystkich naszych organów. Czy tylko naszych? Czy przede wszystkim... nie naszych? Sypie ona wiadomościami i próbuje zatruwać myśli. Jak dziwnie zbiega się w czasie jej praca z przygotowaniem Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii. Kogoś bardzo boli i ten II Korpus na froncie włoskim i ten I na froncie brytyjskim, czekający na rozkaz. Warto by wiedzieć, jaki to tajemniczy "korpus" siedzący na tyle, rozwija przeciw nam wymyślony front tricków i trujących gadek.

Dziw, że ten prawdziwy "corpus delicti" nie zraził się do tej pory swoimi niepowodzeniami. Czasem przypomina on słynną z Polski aferę "Czarnej Ręki". Mniej więcej jest na tym poziomie. Ledwie wymyśli gadkę o Montgomerym, któremu nie podobala się polska dywizja pancerna... na ćwiczeniach w Szkocji, już się dowiaduje, że "Monty" w ogóle żadnych ćwiczeń nie oglądał, bo ich nie było. Po prostu tylko swoim ulubionym zwycięzcom nakazał zgrupowanie ludzi, chodził i patrzył długo w oczy żołnierzom polskim. Wiemy co z nich mógł wyczytać. Że była

Bez blackoutu

to opinia bardzo pochlebna, że o polskiej dywizji pancerniej mówi się dobrze wśród Brytyjczyków — dowód mamy w rozkładzie plotce poczyni pantoflowej, która na gwałt postanowiła psuć opinię Polakom, zmieniać fakty i fabrykować śmieszne, "autentyczne" opowiadania.

"Czarna Ręka" nie może ukryć irytacji. Boli ją właściwie wszystko a przede wszystkim: nastrój wojska, duch żołnierski, harmonia między oficerami i szeregowymi; boli ją ta odporność, godna podziwu polska odporność żołnierska na wszelkie próby nieprzebiegającej w środkach obcej propagandy. Żołnierze kpinami i żartem odparowują ciosy, kpią sobie i z tej "Wandy", co chciała Niemca i gada przez tubę Goebbelsa biblijnym językiem, kusząc trzy razy dziennie i z tego "wielebnego" Orientalskiego /nie tyle od orientacji, co od Orientu/.

Polacy notują bardzo skrzętnie wszelkie poważne głosy dochodzące z U.S.A., wszelkie życiwe słowa, które padają mimo wszystko z ust wybitnych Anglików i Szkotów na terenie Wielkiej Brytanii. Słuchamy spokojnie. Nauczyliśmy się ostrożności. Tej szczytnej soli attyckiej zawsze nam brakowało w rozmowaniu i w przyjmowaniu pewnych rzeczy. To, że nas oblało parę razy dosłownie "bieżącą" wodą pod prysznicem wielkiej polityki — zahartowało nas. I to jest jedna z ważniejszych zdobyczy, którą przyniósł nam ostatnio przeżywany okres wojny nerwów.

Zaobserwowałem, że cywilna emigracja polska łatwiej ulega tej wojnie nerwów, żyjąc w rozproszeniu, indywidualnie, natomiast żołnierz, którego całe życie jest związane z zbiorowością, łatwiej do-

bywa się na odporność. Posząc "żołnierz", myślę: lotnik, marynarz, spadochroniarz, pancerniak, artylerzysta, któremu wystarczy popatrzeć w oczy, by zrozumieć, co myśli, jak czuje i upewnić się, że nie zawiedzie. Pisząc: "Czarna Ręka", myślę o tajemniczej nagonce rozpętanej przeciw temu żołnierzowi w Wielkiej Brytanii, myślę o straszliwej krzywdzie, w której hartują się charaktery i zaciskają pięści /nie w kulak!/. Niewątpliwie tajemnicza ta siła wymyśliła po niedużych występach nowe, puści niedużo świeże gadki, uderzy inaczej i gdzie indziej. I dlatego "pogotowie duchowe" jest w tej chwili co najmniej tak ważne, jak pogotowie bojowe.

Doszły do mnie w czasie podróży różne listy, którymi chciałbym się z Tobą podzielić, Drogi Tymonie. Większość stanowiły, niestety... ulotki. Myślę, że otrzymało je w tym samym czasie wielu innych żołnierzy w Szkocji i w Anglii. Treść ulotek była różna, mniej lub więcej ciekawa, źródło — przypuszczam — jedno, a ton i styl podobne. N.p. "Młodzi nie dajcie się nabrać starym wygom politycznym! Ratujcie armię przed rozpolitykowaniem i rozkładem", /Halo, stare wygi! Nie damy się nabrać! Cóż za pomysłowość! Były ulotki anty-sanacyjne i antynarodowe, wzywające do walki z R.C.M. i do walki z opozycją.

Najciekawsza — ze względu na misterną robotę stylistyczną — była ulotka "Polskiego Związku Postępowego" /Polish Progressive Club, London, N.W.1. Tel. Gulliver... / Ten Gulliver to nie bajka o olbrzymach i pigmejach. To, niestety, smutna, mała prawda. "Postępowcy" przesyłają w tej ulotce swoją "deklarację ideową", z któ-

rej ktoś skrzętnie i dokładnie wybierał i usunął takie słowa jak n.p. komunizm, pozostawił jedynie "współpracę" i nawet nie zamieścił "oswobodzenia". Ponieważ w punkcie szóstym tej deklaracji, poza równymi, wspaniałymi wolnościami, wylicza się także "wolność opinii", więc sądzę, że wolno i trzeba wypowiedzieć opinię o tej ulotce.

Mnie osobiście najwięcej zaciekał ostatni ustęp p.t. "W jedności siła":... "Organizujemy się, bo ludzie źli i zachłanni pograżają sprawę polską w świecie. Aby świat mógł nam zaufać, nie wystarcza powoływać się na własne cierpienie... Naszym celem jest wolny naród, w wolnym państwie, w wolnym świecie. Głosząc to hasło wzywamy wszystkich rodaków do wspólnej pracy. W każdym skupisku polskim zakładajcie oddział lub sekcję Polskiego Związku Postępowego. Wkładka członkowska 3 szylingi rocznie. Na żądanie wysyłamy statut, instrukcje o zakładaniu oddziałów i materiał informacyjny o pracy terenowej..."

Kochani Koledzy! Ponieważ: "w jedności siła" nie dajcie się nabrać! Celem ulotki jest nie tylko wolne państwo /jakie?/, ale przede wszystkim zakładanie "oddziałów" i "praca terenowa". My wiemy, że oddziały walczące o wolność narodu polskiego, o "wolne państwo w wolnym świecie" zostały "zalone" jeszcze we Francji w roku 1939, gdy niektórzy z obecnych nieprzyjaciół wymieniali częste wizyty dyplomatyczne; że niektóre "lotne" oddziały polskie wykonały bardzo intensywną, dzisiaj historyczną, "pracę terenową" w czasie Battle of Britain w roku 1940; że walcząc o wolność narodu zawędrowały w r. 1941 miliony Polaków bez

żadnego "statutu" i "materiału informacyjnego" na daleką Północ, do kopalni. Więc jeżeli taka ulotka trafi do Waszej świetlicy, namiotu czy baraku to wiedzieć, że jej jedynym celem jest nie wydrukowane hasło: "Siła przeciw jedności"!

Drogi Tymonie. Nie potrzebuję Cię zapewniać, jak bardzo śmieszyły mnie te "materiały informacyjne" odbierane właśnie na trasie lotnisk polskich "bombardierów" i myśliwców, jak mogłem kpić i śmiać się głośno z tych ulotek patrząc na szykujące się do lotów wytrwałe maszyny polskie, jak zachłystywałem się atmosferą jedności i koleżeństwa, panującą wśród naszych lotników. Wyobrażasz sobie, jak nieważne wydawały się "tajemnicze papierki" po przeprowadzeniu rozmów z marynarzami polskich okrętów podwodnych, mających kilkadziesiąt tysięcy zatopionych niemieckich "ton" na swoim koncie.

O rozmówkach nocnych w baraku lotniczym, gdzie przygarnięto nas gościnnie pewnego wieczoru, o londyńskiej mgle, która nas trochę dezorientowała, o ciekawych nowinkach z radiofonii światowej i prasy napiszę w następnych felietonach.

WIKTOR BUDZYŃSKI

P.S. Przekazuję Ci wyjątki dwóch listów z dalekich stron, które otrzymałem również na trasie objazdu: jeden z Afryki, drugi z U.S.A. Są tam miłe słowa pod adresem "Polski Walczącej".

M.S. i B.D. /Uganda/: "... Z opisów w "Polsce Walczącej" wiemy o was dużo, ale dostać tę gazetę tutaj trudno, choć jest to najpiękniejsze pismo... Brak nam bardzo "Polski Walczącej". Gdybyście mogli przesyłać...

Pani D. Galińska /Princeton New Jersey U.S.A./ przesyłając jednego dolara na "Paczki od serca" /który równocześnie załączam/ pisze: "... Strasznie czarne i ciężkie chmury zasnuły nam i tak już zamglone niebo, promień słońca prawdy nie jest w stanie przebić się przez te ciężkie opary — pozostała tylko wiara i ufność... Jedynie to pismo Wasze "Polska Walcząca" uspokaja rozdygotane serce i ucisza skłębione czarne myśli, to też wyczekujemy jak chory lekarz tej cennej gazety z Londynu. Zasyłamy Wam najsefdeciejsze pozdrowienia, prosząc Boga o skrócenie dni Waszych tęsknot i wyczekiwania powrotu do Ojczyzny..."

Przechowalnia Bagaży

Zarząd Główny P.C.K. podaje do wiadomości, że uruchomił Przechowalnię Bagaży dla Żołnierzy W.P. w Edinburgh'u, 15, Rutland Street.

Zadaniem przechowalni jest przyjmowanie bagaży /rzeczy osobistego użytku żołnierzy W.P./ celem przechowania ich i po ukończeniu wojny przewiezienia do Składowic P.C.K. w Kraju, skąd zostaną wydane wła-

ścielom za zwrotem pokwitowań. Bagaż składowany w przechowalni jest ubezpieczony za drobną opłatą.

Korzystanie z przechowalni przysługuje żołnierzom W.P. służby czynnej, urlopowanym i inwalidom W.P.

Bagaże, wraz ze specjalnymi deklaracjami, które wydaje Zarząd Główny P.C.K. i Kierownictwo przecho-

walni, winne być przysyłane do Przechowalni Bagaży, 15, Rutland Street, Edinburgh.

Informacji udziela: Zarząd Główny P.C.K., 34, Belgrave Square, London, S.W.1, Biuro Opieki nad Żołnierzem, Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1, Kierownik Przechowalni, 15, Rutland Street, Edinburgh.

W SPRAWIE STOSUNKU DO KOBIEĆ W MUNDURACH

Szanowny Panie Redaktorze!

W momencie, kiedy czytałem w prasie wiadomość o przybyciu nowego transportu ochotniczek do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet — ulicami "czarnej kałuży" ciągnęły długie szeregi W.A.A.F. do zajęć. Ilekroć patrzy się z zewnątrz na szeregi wojska, zdyscyplinowane i jednolite, ulega się dość ciekawemu uczuciu podziwu: człowiek podświadomie tęskni do porządku i karności działania, uderza z nich bowiem poczucie siły i sprężystości. Takie też było i moje pierwsze wrażenie, gdy patrzyłem na ulice tego wielkiego ośrodka szkoleniowego kobiet, w godzinach zajęć porannych.

Ponieważ jednak już dość długo żyję życiem wojskowym i pojęcie "deflady" znam z nieco odmienną stroną, utraciłem szybko ów obraz całości. Mijały mnie dziesiątki poszczególnych ludzi, żyjących swym odrębnym życiem, niosących z sobą tysiące własnych, często przeciwnych nieznanym trosk i utrapień. Słysy kobiety. To może właśnie do wód najlepszy bezwzględności praw wojny obecnej, najbardziej może realistyczny obraz uporu i ofiary, z jakimi prowadzimy walkę o nowe istnienie.

W tym prawdziwie kobiecym świecie żyje i szkoli się mała grupka polskich WAAF. Miałem przez parę dni możliwość poznania w fragmentach ich codziennego życia — i na ten temat chciałbym podzielić się paroma uwagami.

Życie to nie jest sielskie anielskie. Gdy uświadomimy sobie, ile to nas młodych kosztowało wysiłku, by przezwyciężyć wiele trudności, związanych z życiem wojskowym, gdy przypomniemy nasze własne zmagania się w bezwzględnym przyjęciu pewnych koniecznych nakazów życia wojskowego — musimy wyrazić podziw kobiecie, która pomimo odmienną strukturę duchową, dokonała w sobie tego samego. Kobieta w obecnej wojnie stała się normalnym żołnierzem. Otrzymała swój numer ewidencyjny, mundur i kierowana komendą wojskową, razem z nami, tym samym krokiem podąża ku wspólnemu celowi.

Czy jednak poza przyjęciem tego faktu do wiadomości, nie więcej z naszej strony temu nowemu żołnierzowi się należy? Podaję parę autentycznych wydarzeń, które może ułatwią nam udzielenie odpowiedzi na powyższe pytanie.

W autobusie, powracającym z jednej ze stacji lotniczych, wypełnionym Anglikami, jechała mała grupka naszych ochotniczek. Obładowane

swym wojskowym wyposażeniem, nie zwracały na siebie niczyjej uwagi. Wszystkie były przynęcone, jedna płakała. Były to łyżki pełne żalu. O przyczynie przynęcenia mówiła przyciszonym głosem.

Po kilkutygodniowej praktyce na polskiej stacji lotniczej, wyjeżdżają na nowe m.p. Był to pierwszy okres ich pracy w służbie wojskowej. Jechały tam z pełnym entuzjazmem i radością, że będą mogły nareszcie

urzeczywistnić marzenia służby dla Polski. Cieszyła je wiara, że praca ta będzie dobrze zrozumiana. Nie przerażały ich czekające trudności. Bo jąda przecie do polskiego środowiska.

Rzeczywistość okazała się zupełnie odmienna. Przez cały czas trwającej praktyki nie usłyszały od rodaków ani jednego dobrego słowa. Nikt im nie powiedział ani razu "dzieńdobry" przy spotkaniu, mimo iż An-

glicy nie oszczędzali swego "good morning". Nie raczono zwrócić uwagi na takie drobne wydarzenie, że do służby wstępuje nowa grupa ochotniczek, bliższych charakterem, mających wiele trudności zarówno z językiem angielskim, jak i z samym nowym zajęciem. W miejsce tego wszystkiego słyszały nieraz słowa inne, niepełnie parlamentarne i już wcale nieprzyjemne. To może boleć i może również spowodować łyż.

Skrzynka pocztowa

Wypadek drugi o nieco odmiennym charakterze miał miejsce niedawno w owej "czarnej kałuży". Wielkanocne rekolacje odbyły się z pominięciem tych właśnie 17-tu Polek, gdyż nikt nie pomyślał o tym, by przynajmniej w Wielką Sobotę popołudniu zwolnić je z zajęć. Również i spowiedź dla Polek kończyła się równocześnie z zajęciami ochotniczek na kursie angielskim. Gdy bezpośrednio po zajęciach udały się do kościoła — konfesjonał był już pusty. W rezultacie jednej tylko udako się przyjąć komunie wielkanocną. Miała bowiem trochę szczęścia i mogła na własną rękę zwolnić się z wykładu.

Wiele by można pisać na temat niedostatecznego zainteresowania i niepełnego zrozumienia życia niektórych grup naszych ochotniczek. Dzieje się tak częściowo może i dlatego, że same się nigdy nie skarżą. Są bowiem Polkami, a Polka wiele potrafi przeczekać i już wiele przecierpiała w milczeniu. Uważam jednak, iż naszym obowiązkiem jest większe zainteresowanie się ich losem. Każda z nich ma za sobą wiele ciężkich przeżyć — od zesańsowieckich, poprzez ciężką i ofiarną służbę w szpitalach na Wschodzie, aż po wiele osobistych tragedii. Pomimo tego na równi z nami znoszą z pogodą wszelkie trudności. I walczą o zachowanie swej kobiecości. Kobieta chce wrócić do Polski, by wypełnić swój pierwszy obowiązek — żony i matki. W tej walce muszą mieć naszą pomoc i zrozumienie.

Nie patrzmy więc na ich zdyscyplinowane szeregi oczyma widza, przypatrującego się paradzie wojskowej. I nie zapominajmy, iż w bezpośrednim spotkaniu każda z nich jest dla nas przede wszystkim kobietą, której należy się pewien szacunek, a później dopiero żołnierzem o danym numerze rejestracyjnym.

Z poważaniem

Zbigniew Janicz

CZYTELNICZY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości ofiarodawców, że z darów na "paczki od serca" ogłoszonych w nr. nr. 14-15 i 17 "Polski Walczącej" wysłano 356 paczek; 2 paczki odzieżowe /a £2/, 53 paczki żywnościowe /a 10s./ i 301 paczek papierosowych a 1,000 sztuk. Imienna lista tych, do których paczki wysłano jest do przejrzania dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej".

Poradnik żołnierski

Kpr. G.M. — Sprawa obywatelstwa Angielek po wyjściu za mąż za polskich żołnierzy. Zapytuje Pan w swoim liście o dosyć zawiłą sprawę, dotyczącą sytuacji prawnej i materialnej obywatelek brytyjskich, które wyszły za mąż za obywateli polskich, pozostających w służbie wojskowej w Armii Polskiej.

Obywatelka brytyjska, po wyjściu za mąż za żołnierza-obywatela polskiego, automatycznie zyskuje obywatelstwo polskie, a tym samym traci obywatelstwo brytyjskie, jako że nie można posiadać dwu obywatelstw naraz. Może natomiast na podstawie istniejących przepisów angielskich wystąpić do odpowiednich władz brytyjskich o zachowanie obywatelstwa brytyjskiego, co bywa na ogół uwzględniane.

Obywatelka brytyjska w zasadzie nie może być zwolniona ze służby w armii brytyjskiej, do której wstąpiła przed wyjściem za mąż. Co prawda zwolnienie z tej służby może nastąpić /ale nie musi! / na skutek specjalnych okoliczności, jak n.p. z powodu lub tuż przed urodzeniem dziecka, ale zazwyczaj wypada, że załatwianie takich spraw traktowane bywa zupełnie indywidualnie i żadne władze polskie żadnych interwencji w tych sprawach nie podejmują.

Zonie obywatela polskiego /żołnierza/ przysługują normalne zasiłki z Wydziału Rodzin Wojskowych M.O.N., a ponad to może ona otrzymać zapomogę w rodzaju: na urządzenie mieszkania, z powodu urodzenia dziecka, lub datków na wychowanie dziecka /ten ostatni datunek wypłacany bywa przez oddział gospodarczy, w którym służy mąż-ojciec i w oddziale należy się starać o taki datunek/. Żona obywatela polskiego po ewentualnym zwolnieniu jej ze służby wojskowej w armii brytyj-

skiej nie ma zapewnionego zatrudnienia ze strony władz polskich, chociaż może je uzyskać, co jednak zależne jest od kwalifikacji. Zresztą żony obywateli polskich, jak wszyscy obywateli w tutejszym terenie, podlegają przymusowi zatrudnienia i jeśli nie mają pracy, muszą przyjąć taką, jaką im przydzielą odpowiedni urząd brytyjski /Labour Exchange/, zajmujący się tymi sprawami.

Obywatelki — Polki na terenie W. Brytanii odbywają służbę w P.S.W.K. tylko ochotniczo. Służba ta nie jest obowiązkowa.

Sprawa Klubu "Orla Białego" w Londynie i Domu Polskiego w Glasgow. — Otrzymałmy list z niebardzo istotnymi i nieścisłymi uwagami na temat Klubu "Orla Białego" w Londynie oraz Domu Polskiego w Glasgow. Po zbadaniu i stwierdzeniu, że uwagi dotyczące Klubu "Orla Białego" są nieścisłe /co do Glasgow — wyjaśnienie jest zawarte w poniższym liście/, skierowaliśmy całą sprawę do Biura Opieki nad

żołnierzem, od którego otrzymałmy poniższe wyjaśnienia:

1/ Wstęp na zabawy towarzyskie w Klubie "Białego Orła" wynosi sh.2 — a nie 2/6 od osoby bez względu na stopień wojskowy. Wstęp na koncerty i pokazy filmowe jest dla wszystkich bezpłatny. Przyjmowane są jedynie dobrowolne datki na paczki dla jeńców, względnie na cele kulturalno-oświatowe Klubu.

2/ W Hotelu Klubu znajduje się 59 łóżek — z tego 9 jest przeznaczonych dla oficerów do stopnia kapitana włącznie. Oficerowie mieszkają w 3-łóżkowych pokojach i placą za pierwszą noc sh.5, za następne sh.4 — ze śniadaniem. Szeregowi zajmują 4-6 łóżkowe pokoje i placą po 2/6 za dobę ze śniadaniem.

3/ Wejście do Hotelu jest dla wszystkich bocznymi schodami. Wejście główne prowadzi tylko do baru, kawiarni i pokoju sportowego. Każdy żołnierz przychodzący do Klubu "Białego Orła" ma prawo wstępu do wszystkich pomieszczeń przeznaczonych dla członków i gości, jedynie w czasie zabaw i herbatek z tańcami osoby wchodzą do baru i na salę zabaw opłacają sh.2 /dwa szylingi!/. Dla zobrazowania stosunków w instytucjach wojskowych w Londynie podaję warunki opłat w Domu Wojskowym, 3, Culford Gardens, gdzie na 24 łóżek — 3 są przeznaczone dla oficerów na opłatę 7 sh. za pojedynczy i sh.5 za podwójny pokój. Szeregowi placą 3/6 w pokojach 3-4 osobowych łącznie ze śniadaniem.

Co się tyczy stosunków w Glasgowie, nie mogę dokładnie poinformować Pana Redaktora, gdyż nie jest to Dom Żołnierza, lecz Dom Polski pod zarządem P.C.K. Informuję jedynie, że w Glasgowie nie ma Komendy Uzupełnień i chodzi tu prawdopodobnie o oficerów, znajdujących się na kursach.

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?

ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS

AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd

CARGREEN ROAD, LONDON, E.12

Dla Polaków w Rosji: £10,902

Poles in Russia Fund,
c/o "Polska Walcząca",
Dear Sirs,
I enclose a subscription of sh.8.2 for the Poles in Russia Fund from the Scottish-Polish House in Edinburgh.

Yours faithfully,
Leslie Goddard

P.T. "Polska Walcząca",
Załączam sh.10 na Pomoc Polakom w Rosji.

Strumieński M.

W podzięciu Sw. Antoniemu na dzieci polskie w Rosji sh.5 od

Jagusi

W załączeniu przesyłam Postal Order na £2 sh.17 /słownie: dwa funty, siedemnaście szylingów/ z przeznaczeniem na dzieci polskie w Z.S.R.R. — a pochodzące z dobrowolnych składek żołnierzy tut. Szwadronu.

Dowódca . . . Szwadronu Łączności
kpt. Adam Z.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £4.0.2 /słownie: cztery funty i dwa pence/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,902.13.3 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset dwa funty, trzynaście szylingów i trzy pence/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwińców i 100 milrejsów brazylijskich.

GENERAL SIKORSKI MEMORIAL HOSPITAL FUND

£1 od Amerykanina polskiego pochodzenia, działacza "Sokoła Polskiego" w Ameryce, sierżanta Józefa Beczkowskiego z Armii Amerykańskiej — na "General Sikorski Memorial Hospital Fund".

Kwotę jednego funta przekazaliśmy pod adresem: Lady Anstruther, 1, Hill Street, London, W.1, z przeznaczeniem na "General Sikorski Memorial Hospital Fund".

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam "Postal Order" Nr. 253032 na sumę sh.10 /dziesięć szyl./ jako złożoną ofiarę na mszę św. nieprzyjętą przez ks. Dziekana I. Korpusu. Kwotę tę proszę przeznaczyć na najbardziej potrzebujących dzieci w Polsce.

Łączę wyrazy szacunku
W. Ruczyńska

Janinka Kowalewska na biedne dzieci polskie sh.3 d.6.

Sumę £0.13.6 /słownie: trzynaście szylingów i sześć pensów/ przesyłam do "Polish Children Rescue Fund".

W roku bieżącym za pośrednictwem "Polski Walczącej" zebrano na ten cel £532.13.0 /słownie: pięćset trzydzieści dwa funty, trzynaście szylingów/.

Zbiórka książek

Od oficera pilota W.P. z prośbą o przekazanie żołnierzom poza wyspami W. Brytanii dwie książki: Stanisław Szczepanowski: "Walka narodu polskiego o byt", oraz Stanisław Thugutt: "Wybór pism i autobiografia".

Przesyłam 3 podręczniki z prośbą o przeznaczenie ich dla jakiejś szkoły polskiej, według uznania bez obowiązku ogłaszania tego w "Polsce Walczącej".

H. Balcerzak

Załączone podręczniki: Berlitz: "Premier Livre", "Deuxieme Livre", "Basic English".

Przesyłam 13 różnych książek i broszur dla żołnierzy polskich na Bliskim Wschodzie /Pechowy numer, co?/.

Bezimiennie

Załączone: A. H. Russel: "Rapid Calculation", Howard L. Philip: "Memory", André Maurois: "Dzieje Anglii", W. Welby: "Mind Your Mind", "Pomniki literatury ojczyzny" /zeszyt 1 — 5, razem dziewięć zeszytów/.

Bezimiennie nadesłano następujące książki, które przeznaczamy dla żołnierzy na Bliskim Wschodzie: 3 egzempl. "Essential English" /Book I, II i IV/, oraz 11 różnych broszur i periodyków, razem 14 książek i broszur.

W załączeniu przesyłam "Book Token Stamp" z prośbą o zakupienie książki dla żołnierza na Środkowym Wschodzie.

Łączę żołnierskie czolem

J.G.

Za przesyłany nam "Book Token Stamp" zakupiliśmy A. Janty: "Sciana milczenia".

Na "paczki od serca": £3,080

Pani D. Galińska /Princeton New Jersey U.S.A./ przesyła jednogolara dolara amerykańskiego na "Paczki od serca" /por. felieton W. Budzyńskiego w dzisiejszym numerze/.

£1 od Amerykanina polskiego pochodzenia, działacza "Sokoła Polskiego" w Ameryce, sierżanta Józefa Beczkowskiego, z Armii Amerykańskiej, na "Paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech.

W czasie wieczornicy w dniu 3 Maja na "Paczki od serca" zebrano £22.9.2 /dwadzieścia dwa funty, dziewięć szyl., d.2/.

Polska Stacja Bombowa
. . . Dzw. Ziemi Mazowieckiej

Redakcja "Polski Walczącej",
Saperzy Spadochr. przysyłają £1 na jeńców wojennych

światliczarka J. Massalska

Załączam P.O. na sh.5 jako dar na jeńców polskich w Niemczech, które złożył pchor. Chr. Waćław /Jako nagrodę pieniężną, otrzymaną od Komendanta Szpitala Ewakuacyjnego Nr. 1 "Sefa"/.

Oficer Opieki /J. Str./

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £24.14.2 /słownie: dwadzieścia cztery funty, czternaście szylingów i dwa pence/ i jeden dolar amerykań. przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,080.7.7 /słownie: trzy tysiące osiemdziesiąt funtów, siedem szylingów i siedem pensów/, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

NA DAR NARODOWY

Przy niniejszym przesyłamy "Money Order" na sumę £15.0.9 z prośbą o przekazanie jej Komitetowi "Daru Narodowego".

Suma powyższa została zebrana wśród żołnierzy garnizonu . . . na uroczystości obchodu Święta Narodowego dnia 3 Maja 1944 r.

W/z. Plut. Opieki nad Żołn.
/Bł. St. ppor./

Wielmożny Panie Redaktorze,
W myśl apelu Prezesa Rady Narodowej p. prof. dra Stanisława Grabskiego — personel lekarski, gastrotry, chorzy, P.S.W.K. pluton obsługi i pluton samochodowy Polo-

wego Szpitala Ewakuacyjnego Nr. 1 dla uczczenia szlachetnej i bezinteresownej pracy Towarzystwa Szkoły Ludowej, Towarzystwa Czytelni Ludowych i Macierzy Szkolnej w Kraju — złożyli kwotę £6 sh.16 d.6, którą w załączeniu przesyłam.

Ks. Konstanty Poglódek
kapelan szpitala

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £21.17.3 /słownie: dwadzieścia jeden funtów, siedemnaście szylingów i trzy pence/ przekazaliśmy na ręce prezesa Rady Narodowej z przeznaczeniem na Dar Narodowy.

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

W POCIAGU "W NIEZNANE"



—Hans, jaki ty masz bilet?
—"Powrotny" na front rosyjski ...

OSZCZĘDZAJ!

W związku z akcją oszczędnościową w armii, w jednym z urzędów odbywa się narada nad wyszukaniem hasła propagandowego. Po kilku godzinach zdecydowano, że hasło: "na oszczędności twoje czeka rodzina i Kraj" jest najodpowiedniejsze.

—Ja nie akceptuję tego sloganu — wtrącił jeden z członków jury — uważam, że bardziej przekonujący jest slogan: "na oszczędności twoje czeka żoneczka" ...

POLITYCY!

—Teraz widzi pan, że ruszyło się we Włoszech!
—O tak i nawet "wszystkie drogi prowadzą do Rzymu"!

DOWCIPNIS

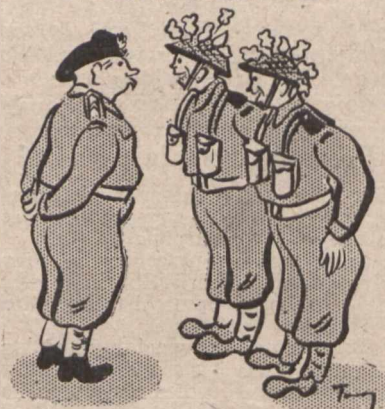
—Wie pan, co Mussolini przesłał Hitlerowi w dniu jego urodzin?
—???
—Srebrny młotek, żeby Adolf wybił sobie z głowy . . . drugi front!

MORSKIE "PESTKI"



—Feluś, to musi być stary wilk morski!
—Cicho mów, nasza Polka może się obrazić!

WRÓG MASKOWANIA



—Ja wam zaraz wybije z głowy mojąwkę!
—Panie szefie, to jest kamuflaż . . .
—Obojętne, teraz jest wojna, a nie botanika! ...

KTÓRY PIERWSZY?

Pełnej damie — Volksdeutscherce, Co swastyki nosi znaki —
Ktoś na wojnie zabrał serce, Podarował zaś bliźniaki!
Mało w Reichu dziś tych czynów, A więc duma ją rozpięra,
Ze dwóch nowych "takich synów" Przesporzyła dla Führera!
A na dwojga wodzów chwale, Których dotąd nie pobito,
Niech chłopięta zwą się male — Ten — Adolfe, ten — Benito!
Choć w Warszawie wciąż jest cicho,

Ma niewiasta kłopot taki: Pełnej nocy, pal to licha!
— pomyliły się bliźniaki!
Więc do matki biegnie stary: — Poradz, Mutter, bo się smuce,
Który z nich się zwie, jak Führer, A zaś który tak, jak Duce?
Jesteś, córko, niedorajda, Bacznie na nich patrz, kobieto,
Który pierwszy się zafajda, Ten na pewno jest Benito!
/Z prasy podziemnej/

PRYZYWCZAJENIE

Na przystanku autobusowym w Londynie od godziny stoi pewna dama. Mija ją może setny autobus.
—Dlaczego pani nie wsiada? — pyta znajoma.
—Ponieważ czekam na ogonek! ...

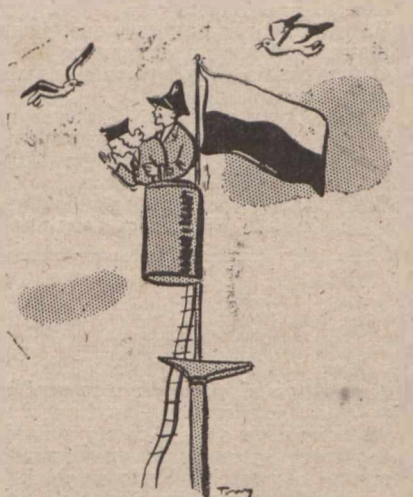
ACH TE STOSUNKI!

—Dziwne są tutaj stosunki — mówi jeden z rodaków. — Mój przyjaciel marynarz wszedł do budki telefonicznej, ażeby połączyć się z narzeczoną i po chwili policja go aresztowała!

ROZPOZNAŁ

Mały Staś chodzi do szkoły w Londynie. Pewnego dnia wpada uradowany do domu i woła:
—Mamusiu, mamusiu, widziałem Króla jadącego samochodem!
—Po czym, poznałeś, że to był Król?
—Mamusiu, ten pan był zupełnie podobny do dwóch szylingów! ...

WSRÓD "WRENEK"



—Pani komendantko, nie mogę zejść! Pan porucznik pokazuje mi teraz gniazdko bocianie!

NA ĆWICZENIACH



—Mówiłam, ażeby wywiesić flagi sygnalizacyjne!
—Pani komendantko, "Dragon" i tak nas zrozumiął! ...

KWALIFIKACJE ...

—Nie wiem jakie ty masz kwalifikacje do Marynarki? — mówi "Pestka" do koleżanki w mundurze marynarskim. — Ja to co innego! Byłam trzy razy w Jastrzębiej Górze, dwa razy w Jastarni, a nawet na Helu!

"SZPILKA"

"Tygodnik Polski" wychodzący w Ameryce, zrobił nam wielką przyjemność, cytując nasze dowcipy, jak i reprodukując rysunki. Redakcja zapomniała tylko wymienić źródło oraz autora — prawdopodobnie omyłkowo z powodu "tempa amerykańskiego".
Przyjmując te zasady, cytujemy jeden z dowcipów, który ukazał się w pewnym tygodniku w Ameryce:

—Wiesz dlaczego zamknięto "Wiadomości Polskie"?
—Papier był potrzebny do podklejenia Karty Atlantyckiej! ...

Tekst i rysunki: TONY

Ukazał się pierwszy numer pisma "GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE"

poświęconego zagadnieniom wychowawczym w Polskich Siłach Zbrojnych.

Na pierwszy numer składa się: Słowo od Redakcji; Przedmowa Ministra Obrony Narodowej; Na rozdru — S. Hardiek; Kilka słów o roli i pracy dowódcy — Konny Artylerzysta; Przegląd wojskowej literatury obcej; Przegląd wojskowej literatury własnej; Wyjątki z literatury.

SPIS RZECZY:

Zygmunt Nagórski, jn.: Osobliwa chwila. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Z tygodnia na tydzień. — Zdzisław Bau: Prasa żołnierska na froncie włoskim /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Tadeusz Zajczkowski: Na apenińskich stokach i granicach. — Polska podwodna /Jan Szyłski: Na patrolu. Andrzej Guzowski: Ich nieudany urlop./ — Tadeusz Pniowski: Junacy wystawiają Halke /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Aleksander Janowski: Dwunasty maja. — Janusz Laskowski: Amerykański uśmiech /Zjazd ochotników z Ameryki i Kanady żołnierzy W.P./ — Wiktor Budzyński: Bez Blackoutu. — Skrzynka pocztowa.

KOMUNIKAT MINISTERSTWA PRACY I OPIEKI SPOŁECZNEJ

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej wzywa wszystkich zwolnionych z szeregow W.P. po dniu 1 września 1939 z powodu zupełnej niezdolności do służby wojskowej /kat. "E"/, wobec których nie zostało wszczęte postępowanie o zaopatrzenie inwalidzkie, o podanie w jak najkrótszym czasie dokładnego adresu w celu umożliwienia Ministerstwu wszczęcia postępowania w sprawie zaopatrzenia inwalidzkiego. Adresy należy przesyłać do Działu Opieki nad Zwolnionymi z Wojska Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej /19, Cavendish Square, London, W.1/.

WYSTAWA ANTONIEGO WASILEWSKIEGO

W dniu 17 maja w Klubie "Białego Orła" otwarta zostanie wystawa obrazów oraz szkiców wojskowych Antoniego Wasilewskiego. Wystawa trwać będzie do 20 czerwca.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz. Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 Inches
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
BM/Hyta, London, W.C.1

Staraniem Związku Dziennikarzy R.P. odbędzie się w Ognisku Polskim /45, Belgrave Square, S.W.1/ w czwartek dnia 18 maja b.r. o godz. 6-ej odczyt **IGNACEGO BALIŃSKIEGO** b. prezydenta m. Warszawy p.t.
"O starych redakcjach warszawskich"
Wstęp wolny.

Staraniem P.E.N. Klubu Polskiego odbędzie się w lokalu "Ogniska Polskiego", 45, Belgrave Sq., S.W.1 w ciągu bieżącego miesiąca: Odczyt **DR. JANA SŁWIŃSKIEGO**, p.t.
"Music in Poland"
ilustrowany płytami gramofonowymi, w dn. 25 maja /czwartek/, o godz. 6.15.
Wstęp bezpłatny. Prosimy o zamówienie o powyższej imprezie jak największej ilości Anglików.
Wieczór autorski **ANTONIEGO BOGUSŁAWSKIEGO**, ze słowem wstępnym Wacława Grubińskiego, w dn. 31 maja /środa/, godz. 6.15.
Wstęp 2/6 na Fundusz Pomocy Pisarzom w Polsce.